

GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 159

PAŹDZIERNIK-GRUDZIEN

2022



ŚP. Jerzy Stopa 1926 – 2022
Larousse Podola



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław).

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p. 336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa: www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82*

PKO BP I O. Poznań

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Druk: „Orange House” ul. Sosnowa 38, Bielany Wrocławskie

Na okładce: Tarnopol – widok z początku XX w. oraz ŚP. Jerzy Stopa (1926-2022) Tarnopolanin, wieloletni członek redakcji „Głosów Podolan”.

SPIS TREŚCI

Tadeusz JÓŹKÓW	
Moje wspomnienia (cz. VII ostatnia – Nowy dom na „Ziemiach Odzyskanych”)	s. 1
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowianina (cz. VI).....	s. 7
Józef Zbigniew SIEGEL	
Saga rodziny Siegelów (cz. II).....	s. 19
Miła SANDBERG-MESNER	
Odgłosy Zaleszczyk	s. 28
Martyna GRĄDZKA-REJAK	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz.II – Rodzina Linkiewiczów (Hinkowce, pow. Zaleszczyki).....	s. 26
Jakub JASKÓŁOWSKI	
Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” cz. III – Rodzina Hutników (Łanowce, pow. Borszczów).....	s. 30
Igor MEGGER	
„Przygoda” Josipa Broz Tito na Podolu	s. 31
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. V - Jan Potocki	s. 35
REDAKCJA	
Województwo tarnopolskie na łamach „Kresowej Atlantydy”	s. 36
Igor MEGGER	
Zjazd Czortkowień - Warszawa 4.09.2022	s. 37
Janina STADNIK	
XXXV Jubileuszowy Tarnopolski Zjazd Kresowian	s. 39
Maria SIKORZYŃSKA	
Obchody 79 rocznicy Rzezi Wołyńskiej w Warszawie	s. 41
REDAKCJA	
Aktualności z Podola	s. 43
Z Żałobnej Karty – Zofia Mertens, Jerzy Stopa, Tadeusz Chromik, Ryszard Cwiakała, Ewelina Kukier-Śmietana, Anna Rajner, Marian Garlicki, Stanisława Bartosiewicz, Zbigniew Hardy, Mieczysław Hehorów, Kazimierz Kozak, Róża Sokołowska	s. 45
Hanna ADAMSKA	
Krzyk (wiersz).....	s. 55
REDAKCJA	
Komunikat ws. statuetki „Semper Fidelis” na rok 2023	s.55
Konkurs noworoczny, od redakcji , lista darczyńców	s. 58



Tadeusz Józków
Milicz

Moje Wspomnienia

Cz. VII (ostatnia) – nowy dom na „Ziemiach Odzyskanych”

W ostatniej części moich wspomnień pozwolę sobie na małe posumowanie ekspatriacji, czyli wydalenia nas z naszej Małej Ojczyzny, bo to nie było dobrowolne opuszczenie kraju, w którym od wieków żyli nasi przodkowie.

Pierwszy transport z Chorostkowa wyjechał 25 stycznia 1945 r. Była to niedziela i został on skierowany do Zamościa.

Drugi transport z Chorostkowa wyjechał 29 czerwca 1945 r., na święto Piotra i Pawła. Został skierowany na Opolszczyznę, koło Nysy.

Trzeci transport wyjechał w lipcu przed zniwami. Brak jest daty wyjazdu z Chorostkowa oraz informacji ,dokąd został skierowany.

Czwarty wyjechał 29 września 1945 r. Tym transportem wyjechali księża z Chorostkowa. Trafił on do obecnego województwa kujawsko-pomorskiego.

Piąty opuścił Chorostków 13 października 1945 r. i skierowano go do Jawora oraz w okolice Jeleniej Góry.

Szósty wyjechał w ostatnich dniach października 1945 r. Tym transportem my wyjechaliśmy i został on skierowany do obecnej Hłowy (pow. Żagań).

Siódmy wyjechał 22 listopada 1945 r., skierowano go do powiatów Góra Śląska i Środa Śląska.

Dziewiąty wyruszył 29 listopada 1945 r. ale dokąd trafił, tego nie udało się ustalić.

Jedenasty – w lutym 1946 r. – był ostatnim transportem, który ładował się w Chorostkowie. Następne wagony ładowały się już w Kopyczyńcach. Został on skierowany do Jawora, m.in. do wsi Jurgowa w gminie Dobromierz.

Dwunasty wyjechał 14 kwietnia 1946 r. do powiatu żagańskiego.

Trzynasty – 25 kwietnia 1946 r. – trafił do Słupska.

Czternasty wyruszył 8 maja 1946 r., skierowano go do Szczecin-ka.

Piętnasty, i ostatni transport, wyjechał 15 maja 1946 r. i został skierowany do Ruszowa (powiat Bolesławiec).

Opracowałem to na podstawie informacji, jaką otrzymałem od Jana Białuskiego, za co jestem mu bardzo wdzięczny. Jest to jedyna, w miarę ścisła i solidna informacja, pomimo że pan Białuski miał w tamtym czasie około 15 lat¹.

Po drugim spaleniu Deryłoz, o czym pisałem w części V moich wspomnień, przez następny rok 1944/1945, aż do października, czyli przez 14 miesięcy, tułaliśmy się po krewnych ze strony ojca w Chorostkowie, aż do wyjazdu na zachód, do Dłużewa-Czernicy. Zostaliśmy sprowadzeni przez Ojca z Ilwy 8 grudnia 1945 r. za sprawą stryjecznego stryja mego Ojca, Szczepana Józków, który jako pierwszy z rodziny zamieszkał w Dłużewie, bo mój Ojciec po zdemobilizowaniu 28/29 września 1945 r. rozpoczął poszukiwanie swojej rodziny. Po drodze spotkał właśnie stryja Szczepana, który namówił go do przyjazdu razem z nim do Dłużewa. Ojciec skuszony został tym, że gospodarstwa rolne w Dłużewie nie były zniszczone ani rozszabrowane, a i w oborze były krowy, więc rodzina będzie miała co jeść. Niestety, co lepsze gospodarstwa były już zajęte. Ojciec objął więc bardzo liche gospodarstwo pod nr 96. Niemiec nazywał się Kłym. Dodatkowo dostał jednorodzinny dom pod nr 97, ponieważ ten spod nr 96 nie nadawał się na dłuższe zamieszkanie.

Stryj Szczepan zakończył swój przebieg służby wojennej w Jeleniej Górze. Stąd jego decyzja o zamieszkaniu w Dłużewie, a wraz z nim do Dłużewa przybyli jego koledzy frontowi: Harasimowicz, Kwaśniewicz, Masztalierz, Międzyborski, Miszczyk, Rozmus, Skulski.

Mój Ojciec po zdemobilizowaniu udał się do Gdańska, gdzie spotkał się ze swoim szwagrem Stanisławem Citków i młodszym bratem Stanisławem. Obaj udali się na teren obecnego wojewódz-

¹ Brak informacji o transportach 8 i 10 – przyp.red.

stwa lubuskiego, gdzie stryj Stanisław zajął gospodarstwo rolne i to podobno dość ładne. Tam nawet przez jakiś czas mieszkali. Stanisław Citków pozostał w Gdańsku, bo był jeszcze w wojsku, pełniąc funkcję wojskowego komendanta Gdańska-Oliwy. W trakcie poszukiwania rodziny, po spotkaniu ze stryjem Szczepanem, wraz ze swoim bratem Stanisławem, zdecydowali się na przyjazd do Dłużewa, by tam czekać na rodzinę. Stryj Szczepan do Dłużewa przybył w sierpniu 1945 r., będąc jeszcze w wojsku przed zdemobilizowaniem, a jego rodzina z Chorostkowa wyjechała wcześniejszym transportem, prawdopodobnie 13 października 1945 r. To właśnie od stryja Szczepana Ojciec dowiedział się, że my wyjeżdżamy następnym transportem. Stąd wniosek, że z rodziny Józków w 1945 r. do Dłużewa przybyli stryj Szczepan z rodziną, nasza rodzina i stryj Stanisław. Rodzina stryjka wyjechała z Chorostkowa dopiero wiosną 1946 r., bo jak do Dłużewa przyjechali, pamiętam, że był to piękny słoneczny dzień, a ja czułem się jak stały bywalec Dłużewa. Przyjechałem do nich rowerem, a był to kawał drogi. Pozostali z rodziny Józków do Dłużewa przybyli dopiero wiosną 1946 r., w tym Józefa Józków – córka Marii z d. Citków i Mikołaja Józków, rodzonnego brata stryja Szczepana.

Na 671 mieszkańców Dłużewa-Czernicy, 1/6 to ekspatrianci z husiatyńskiego Podola, a mianowicie z Chorostkowa i Chłopówki w liczbie około 66 osób + spokrewnieni z rodziną Józków, to daje około 120 osób, a więc 1/6 to sami swoi. Nie jest to pełna liczba, ale były i są kłopoty z ustaleniem miejsca pochodzenia niektórych pierwszych mieszkańców Dłużewa-Czernicy. Wstępna liczba mieszkańców Dłużewa-Czernicy z lat 1945–1950 ewakuowanych z powiatu Kopyczyńce wynosi ponad 150 osób.

Ekspatrianci bardzo solidnie zaczęli pracować w nowym miejscu zamieszkania, ale nie tylko na swoim, społecznie też. Zadbali o szkołę, kościół, który był mocno zaniedbany z uwagi na brak katolików narodowości niemieckiej. Uporządkowano teren wokół kościoła, założono tam oświetlenie elektryczne. Mieszkańcy ofiarowali Krzyż Misyjny ustawiony obok sklepu pana Karola Sobelaka w roku 1946. Od 16 stycznia 1946, czyli od chwili powstania Pu-

blicznej Szkoły Powszechnej w Dłużewie, przez okres zimowy dyżurny uczeń przywoził ze sobą drewno opałowe do szkoły, aby napalić w piecu. Sytuacja zmieniła się po przeniesieniu szkoły do innego budynku, a był to już rok szkolny 1946/1947. Zatrudniono woźną-sprzątaczkę w jednej osobie, mieszkającą w szkole, która zimową porą paliła w piecach. Za czasów niemieckich w Langenau, późniejsze Dłużewo-Czernica, było zaledwie kilku katolików narodowości niemieckiej, a o niemieckim księdzu nic nie znalazłem. Takie to były powojenne początki polskości Ziem Odzyskanych, czyli dzień pierwszy dla Polaków, dzień ostatni dla Niemców, którzy byli sprawcami tej narodowej, polsko-niemieckiej tragedii.

Wysiedlanie Niemców z Dłużewa-Czernicy odbyło się w dwóch etapach. Pierwszy transport miał miejsce na przełomie lipca-sierpnia 1946 r. i tym transportem wyjechał Oswald Kłym. Drugi transport nastąpił na przełomie sierpnia/września 1947 r., wyjechały nim obie Niemki spod numeru 96, czyli Niemka o nazwisku lub przezwisku Mina, oraz druga młodsza z córeczką w naszym wieku, z którą zdążyliśmy już żyć.

W obu przypadkach, moment rozstania był bardzo przykry, tym bardziej że żyliśmy w zgodzie, pomimo że Mina miała swoje nieobliczalne kaprysy. Pamiętam, jak w roku 1946 lub 1947 zabroniła nam zrywać jabłka z drzew owocowych, nawet odebrała od nas zerwane już owoce. Po krótkiej rozmowie mego Ojca z Miną, oddała jabłka i od tej pory było już spokojnie. Bardziej wyrozumiąły był Kłym z rodziną, człowiek starszy od mego Ojca, żołnierz I wojny światowej, obaj dobrze wiedzieli, że nie mają wpływu na zaistniałą sytuację.

Pamiętam pierwsze polskie zakończenie roku szkolnego 1946/1947, tu w Dłużewie, nie w Langenau, ale właśnie w Dłużewie. Było to wspaniałe uczucie, wojny już nie ma, nikt nikogo nie zabija, nie trzeba się bać o to, jaka będzie noc, co nam przyniesie jutrzejszy dzień. Z tej okazji zrobiono zdjęcie zbiorowe całej szkoły przy wjeździe na podwórze Józefa Kwaśniewicza, zdemobilizowanego żołnierza 29 pp z Jeleniej Góry; po przeciwnej stronie był sklep pana Sobelaka.

Zapamiętałem sobie pewną przygodę z roku 1946, a było to jeszcze w tzw. starej szkole, w Dolnej Czernicy. Na wizytację do szkoły przyjechał szkolny inspektor z Lwówka Śląskiego, chyba mgr Błaszczyński z psem. Był to duży pies, ciemnego koloru, chyba owczarek niemiecki, ja siedziałem w przedostatniej ławce po prawej stronie wchodząc do klasy, a pan inspektor szkolny usiadł w ostatniej ławce po mojej stronie. Podczas tej wizytowanej lekcji, jego pies zjadł moje drugie śniadanie, które po wyjęciu z tornistra włożyłem pod pulpit ławki. Gdy zauważyłem brak drugiego śniadania z obawy, nie wiem przed kim, zachowałem to w tajemnicy, po raz pierwszy o tym wspominam, ale już jako humorystyczną przygodę z roku 1946.



Kościół w Czernicy – stan współczesny

W roku 1946, w pierwszym roku istnienia Publicznej Szkoły Powszechnej w Dłużewie, do Dłużewa przyjeżdżał ksiądz o nazwisku Tomasz Strecker uczyć dzieci religii, był on proboszczem we Wleniu w latach 1945-1947. Trudno jest dzisiaj powiedzieć, czy to były doraźne lekcje religii, czy też systematyczne.. Wiem, że w dniu 4.07.1947 roku w wieku 10 lat przyjąłem Sakrament Bierzmowania we Wleniu, którego Szafarzem był ks. dr. Karol Milik,

Administrator Apostolski Dolnego Śląska z Wrocławia. Po przeniesieniu Publicznej Szkoły Powszechnej do nowego budynku z Dolnej do Górnej Czernicy, to już lekcje religii odbywały się regularnie. W tym czasie księża dojeżdżali regularnie zajęcia religii z Siedlęcina, kolejno ks. Czesław Tuzinkiewicz, po nim Stanisław Tarasewicz. Przez sześć miesięcy 1948 roku był na stałe ksiądz w Czernicy, od stycznia do czerwca, o nazwisku Henryk Cwiękowski, następnie wyjechał do Kwielic koło Głogowa, do swoich przedwojennych parafian.

W roku 1947 odbyła się w Dłużewie-Czernicy I Komunia Święta. Jak wynika ze zdjęcia, było 38 dzieci, zapewne były to też dzieci z Płoszczyzny, czyli Białego Potoku. Komunii udzielił proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. św. Mikołaja z Siedlęcina, ks. Czesław Tuzinkiewicz.

W dniu 10.03.1947 roku następuje zmiana nazwy Dłużewa na Czernicę, pamiętam był to bardzo piękny marcowy dzień. Byliśmy tą decyzją zaskoczeni i rozczarowani, bo wszyscy już się przyzwyczaili do nazwy Dłużewo.

W dniu 31.01.1950 roku z bólem serca, z woli Rodziców pożegnałem wieś Dłużewo-Czernicę, którą bardzo chętnie w latach szkolnych odwiedzałem. Były to bardzo trudne lata, lata powojenne, ale zarazem radosne, bo młode. Żyliśmy nadzieją, że wojny nie będzie, będziemy żyli w spokoju, który niestety był przez tzw. zimną wojnę zakłócany i ciągły strach, że Niemcy wrócą, dlatego jestem pełen podziwu dla tych, którzy pozostali w Czernicy, w tym naszym powojennym Dłużewie.

Przeprowadzką z Czernicy, dawnego Dłużewa, gm. Bystrzyca z siedzibą we Wleniu, pow. Lwówek Śląski obecnie gm. Jeżów Sudecki, pow. Jelenia Góra do Żmigrodu, pow. Milicz, obecnie powiat Trzebnica, Rodzice kończą swoją wędrówkę powojenną w poszukiwaniu spokoju i bezpiecznego życia. Rodzice i siostra na cmentarzu parafialnym w Żmigrodzie, kwatera II B, nr grobu 108 znaleźli swój wieczny spokój. Ja natomiast przez Brzeg Dolny zawędrowałem do Milicza, w roku 1978.

Bruno Brożyniak
Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowianina) **Cz. VI**

Rozdział VI **Kury pijane, Pikuś zastrzelony**

Groźny wilczur

Od najmłodszych lat miałem liczne kontakty ze zwierzętami – nieraz dziwne, czasem śmieszne, niektóre mogły zakończyć się tragicznie. Jako dwulatek nagle zniknąłem rodzinie z oczu. Zrobił się straszny popłoch, bo kilka tygodni wcześniej wpadłem do zbiornika z gnojówką i omal nie utonąłem w gównach. Kąpano mnie potem wiele razy, ale ponoć długo śmierdziałem okrutnie. A tym razem znaleziono mnie w budzie wilczura – Reksa. Był to wyjątkowo ostry pies. Trzymano go na łańcuchu, bo rzucał się na ludzi, sezonowemu robotnikowi omal nie rozplątał brzucha, nieraz potrafił wysunąć się z obroży i wtedy dusił kury sąsiadów, zagryzał koty i mniejsze psy. A ja w budzie siedziałem na nim okrakiem i z całych sił waliłem go po łbie małymi rączkami. Wilczur znosił to zaskakująco cierpliwie, ale na wszelki wypadek dostałem lanie i zakaz wizyt w budzie.

Któregoś dnia groźny pies znowu zerwał się z łańcucha i zadusił sąsiadom parę sztuk drobiu. W odwecie ktoś podał mu kiełbasę wypełnioną tłuczonym szkłem. Zwierzę przywlokło się do domu i zaczęło konać w okropnych mękach. Na ten widok tata wyjął pistolet i go zastrzelił.

Walka z gęsiorem

Byłem trochę starszy, gdy zaciekało mnie u sąsiadów Rokocińskich stado krzykliwych gęsi. Cicho wślizgnąłem się na ich podwórko i podszedłem do białych gęgaczy. Ptaki ostrzegawczo zasyczały, ale podszedłem całkiem blisko. Na moje nieszczęście

miałem na sobie krótkie spodenki i cienką koszulkę. Nagle zaatakował mnie przywódca stada – opasły gąsior. Zaczął tłuc skrzydłami i bardzo boleśnie szczypać swym twardym dziobem. Próbowałem się bronić, ale przewrócił mnie na ziemię i gniótł moje chude nóżki niczym kleszczami. W końcu syty zwycięstwa odszedł z triumfalnym gęganiem. Wróciłem do domu cały w spazmach i bolesnych siniakach.

– Po coś tam laź! Teraz już będziesz wiedział, że gęsi potrafią mocno szczypać i bronić swego terenu niczym czujne psy! – usłyszałem od mamy.

Chłodne kompresy przyniosły trochę ulgi, ale pozostała pamiętliwa wściekłość. Oczekałem parę miesięcy, nabrałem więcej sił oraz sprytu i któregoś dnia poszedłem na srogi odwet. Gdy gąsior z sykiem ruszył na mnie, odskoczyłem w bok, z całych sił chwyciłem go za szyję i zacząłem dusić. Chwilę się miotał, ale w końcu osłabł i oklapł bezwładnie. Usiadłem na nim dumny ze zwycięstwa.

– Widzisz, dumny gąsiorze! Ja wygrałem, wygrałem!

Któż to wie, może w bitwie z gąsiorem odezwały się we mnie kresowe geny przodków, którzy do przyjaciół otwierali serce i ramiona, a z podstępными wrogami walczyli do ostatniego tchu.

Tragiczny powrót kocura

– Patrzcie dzieci, jaki śliczny kotek! Dostałam go od kuzynki – powiedziała mama.

Kociak był rzeczywiście ładny – bury z pręgami przypominał małego tygrysa. Był zwinny, inteligentny. Szybko nauczył się, że nie należy sikać i walić kupek w mieszkaniu. Gdy sobie popił ciepłego mleczka, chętnie pakował się domownikom na podolek i mruczał pełen szczęśliwości. Ani się spostrzeżliśmy, jak z małego, przymilnego kociaka wyrósł duży, silny kocur. Na swoje nieszczęście okazał się zawziętym łowcą. Jego popisowym numerem było łapanie wróbli w locie. W tym celu pokładał się nieruchomo na podwórku i czekał, aż w pobliżu usiądzie jakiś ptaszek lub całe stadko. Wówczas wyskakiwał w górę niczym z katapulty i chwycił ptaszka

w locie. Niestety, u sąsiadów dusił pisklęta, a nieraz także młode kurczaki czy inne ptactwo domowe. Sąsiedzi coraz częściej robili awantury, a kocura trudno było cały czas trzymać w domu. Fakt, że był inteligentny, bo naszego drobiu nie atakował. Po kolejnej niecnej wyprawie kocura rodzice postanowili wywalić go na wieś. Ze skrywanym żalem patrzyliśmy, jak znajomy rolnik wsadził go do worka i zabrał do Starej Jagielnicy odległej od nas jakieś piętnaście kilometrów.

Mniej więcej po tygodniu nagle usłyszałem przeraźliwe miauczenie. Poznałem głos naszego kota. Wskoczył mi na rękę, tulił się radośnie. Po kociemu przywitał się z braciszkiem, z całą rodziną, wprost nie mógł się nacieszyć, że znowu jest w domu. Mocno schudł, choć pewnie po drodze łapał jakieś myszy. Ale jak odnalazł kierunek do nas, skoro wywieziono go w ciemnym worze? Nikt z dorosłych nie potrafił mi tego sensownie wyjaśnić.

Kocur jadł za trzech, a potem na naszych kolanach chętnie urządzał swoje mruçando. A gdy nabrał sił, ruszył znowu na łowy do sąsiadów. Kolejnej awantury już nie było. Ktoś odciął mu głowę siekierą i tak zmasakrowanego podrzucił na nasze podwórko. Nam z braciszkiem zrobiło się strasznie smutno, a rodzice nawet tej zemsty nie komentowali. Kocur w dwu kawałkach spoczął na skraju sadu.

Mali sadyści

To była okrutna, sadyistyczna zabawa, której potem żałowałem i bardzo się wstydzilem. Na wiosnę sad masowo atakowały chrabąszcze. Któregoś majowego dnia starsze chłopaki zagadnęły mnie tajemniczo:

- Zaraz pokażemy ci chrabąszczowego wiatraczka!
- Wiatraczka? A to co takiego? – spytałem zaintrygowany.
- To bardzo proste! Zobacz, jak to się robi! – powiedział Zdzichu.

Chłopcy złapali chrabąszcza, ułamali mu cieńszą część tylnej nogi, a w grubszy kikut wsadzili patyczek. Owad kręcił się jak osza-

łały. Zrobiliśmy kilka żywych wiatraczków i wielce zadowoleni z naszego sprytu zaczęliśmy biegać z nimi po sadzie. W końcu znużeni okrutną zabawą porzuciliśmy w trawie szamoczące się owady i poszliśmy grać w palanta. (Nawiasem mówiąc, właśnie ten stary, europejski palant zrobił potem wielką karierę w USA i stał się narodową grą Amerykanów).

Wszystko, co robiłem, nie mogło ująć bacznej uwadze Bogusia, mego braciszka. Kolejne zabawy z żywymi wiatraczkami także. – Zrób mi wiatraczka! Zrób mi wiatraczka! – zaczął raz po raz nudzić kóregoś dnia. Z chrabąszczami brzęczącymi na patyczkach zaczęliśmy biegać po sadzie, po podwórku. I tak nas przydybała mama.

– Co wy robicie? Nie wolno tak męczyć zwierząt! – skrzyczała nas.

– To przecież szkodniki! Żrą liście na naszych drzewach! – próbowałem bronić tej zabawy.

– I jeszcze małe dziecko do tej głupoty wciągasz. To niby nie wiesz, co robimy z chrabąszczami?

– No, wiem... wiem – bąknąłem coraz bardziej skonfundowany i raz na zawsze dałem sobie spokój z okrutną zabawą. Żadnych środków chemicznych do zwalczania szkodników sadów nie stosowaliśmy ani my, ani nasi sąsiedzi. Gdy na wiosnę nadlatywała chmara chrabąszczów, mocno otrząsało się z nich drzewa, a potem masowo topiło w wiadrach z wodą.

Wiśniakowy bankiet kur

Rodzice kupili dużą, pękatą butlę na wiśniak, bo stara okazała się za mała. A to wpadli koledzy taty z koszar, a to ktoś z rodziny lub sąsiadów i wiśniak z małej butli jakoś szybko wyparowywał. Przed kolejnym owocobranem mama z babcią wysypały z nowego nabytku na podwórko całą, sporą kupkę wiśni, na które łąpczywie rzuciło się stadko naszych kur. I rozwinęła się podwórkowa komedia, jakiej potem w życiu nie widzieliśmy.

Kurom wiśnie bardzo smakowały, bo raz po raz po nie wracały. I zaczęły błyskawicznie pijanieć. Kijały się niepewne na bo-

ki, stawały w pół drogi, nie trafiały dziobami w nasycony alkoholem smakołyk. Dzielna kokoszka, która wychowała kilka pokoleń piskląt, która nie bała się kota i waliła go dziobem, która rozdawała kuksańce młodym kogutkom, oto teraz niepewnymi zakosami snuła się koło wiśni, nie mogąc w żadną trafić. W końcu ogłupiała zupełnie zaszyła się w kąt. Oto jej koleżanki, które powoli, nieporadnie dreptały wzdłuż płotu i jedna po drugiej zaczynały podrzemywać w przedziwnych pozach: na boku, kuprem do góry, z rozczapierzonym jednym skrzydłem, z mętnymi oczkami, jak to zwykle u pijanych.

Wiśniakowa pułapka dosięgła też koguta. Był prawdziwym wodzem na podwórku. Trzymał dyscyplinę i porządek – skoro świt budził domowników donośnym „kukuryku”, odpędzał koty od kwoki i piskląt, dziobem uświadamiał krnąbrnym kurczakom, kto tu rządzi. Rosły i silny, z wypiętą piersią, mięsistym, czerwonym grzebieniem, muskularnymi nogami, był mocarny i piękny. Po prostu prawdziwy wódz swego stada. Kury na jego widok pokornie przysiadły. Wskakiwał im na grzbiety i zapładniał, kiedy miał ochotę. A ochotę miał często. A teraz ten szef, prawdziwy ataman podwórka, był w coraz większym kłopotcie. Chciał młodemu kogutkowi przywalić dziobem, ale nie trafił i zrobił fikołka. Otrzepał się nieporadnie i próbował przybrać godną postawę, ale rzuciło go na bok i chwiejnym skosem poczłapał do płotu. Tam rozczapierzył skrzydło i bezradnie zarył dziobem w glebę. Od tego czasu nie wysypywano naraz tak dużych ilości alkoholowych owoców. A mały rauszyk nikomu nie szkodził, nawet kurom. I ponoć jajka były smaczniejsze po wiśniakowej przekąsce.

Głupi żart z koniem

Od czasu, gdy tata chcąc nie chcąc wziął się za furmanienie, w naszym życiu pojawił się koń. Były to na ogół spokojne, powolne szkapki pociągowe. Dorośli uczulali nas, dzieciaki, żeby zniemacka nie podchodzić do konia z tyłu, bo może kopnąć, a karmić drobnymi smakołykami należy na wyprostowanej dłoni, bo koń mimochodem może kłapnąć zębiskami po palcach. Uczyłem się zakładać uprząż i powozić furmanką, poznałem takie słowa, jak dyszel, or-

czyk, uzda, lejce. Ale tłuczenie się furmanką po wyboistych drogach szybko mnie znudziło. Zacząłem napraszać się na jazdę na grzbiecie rumaka. Początkowo na konia wsadzał mnie ktoś z dorosłych, ale z czasem potrafiłem sam z jakiegoś stołka wdrapać się na koński grzbiet i hajda przed siebie.

Najpierw było to powolne człapanie noga za nogą, ale szybko takie spacery wśród okolicznych łąnów zbóż, kartofli, konopi, kukurydzy, tytoniu stały się nudne. Zacząłem od truchtu, a w końcu ćwiczyłem sobie krótkie galopy. Końskie kopyta głucho uderzały o podolską ziemię, wiatr przyjemnie chłodził ciało, a ja czułem się niczym jakiś husarz z rozwianymi skrzydłami. Te galopady nie były bezpieczne, bo nie stać nas było na zakup siodła. Jeździło się na oklep, czasem z lejcami i uzdą na końskim łbie, a czasem jedynie trzymając się grzywy. Szkapę kołysała się jak statek na wzburzonym morzu i nieraz zdarzało mi się nagle spaść i boleśnie potłuc, ale ukrywałem te przygódki przed rodzicami. W spadaniu nabrałem niezłej wprawy – odbijałem się mocno i skakałem w bok, żeby mi koń nie przywalił kopytem.

Tych ułańskich popisów pozazdrościł mój mały braciszek. Zaczął się napraszać, że także chce pojeździć na koniu. Najpierw było to truchtanie na podwórku, ale z czasem wyjeżdżał za bramę. Któregoś dnia zaczął jeździć przed domem. Jakiż był z siebie dumny, jak sprytnie zawracał koniem wte i wewte. W nagłym impulsive postanowiłem mu zrobić kawał. Gdy odjechał kawałek od domu, zacząłem się za jakimś krzewem, a gdy braciszek zawrócił, nagle sypnąłem tuż przed końskim pyskiem obłokiem przydrożnego kurzu. Przestraszony koń ostro się rozkraczył, a malec poleciał przez pochylony łeb i runął na drogę. Podniosłem go z ziemi – zapłakanego, mocno przestraszonego, umorusanego w kurzu i tak wróciliśmy do domu

– Coś ty narobił? Przecież Boguś mógł sobie połamać ręce albo nogi! – skrzyczała mnie mamcia.

– A jakby tak, nie daj Boże, uszkodził sobie kręgosłup? Skaranie z tym bachorem! Takie batiarstwo, takie batiarstwo! I skąd się to w nim wzięło? – lamentowała babcia.

– Złamaną rękę czy nogę można teraz dać do gipsu i wyleczyć, ale uszkodzony kręgosłup to paraliż. Inwalidztwo do końca życia! Ej, Runek, nie wiedziałem, że jesteś taki głupi! – podsumował mój występek tata.

Po tych reprimendach ukradkiem popatrywałem na mego braciszka, smagłego, wesołego i ruchliwego chłopczyka, a wyobraźnia podsuwała mi straszne obrazy. Malec spętany w jakieś gipsy, z ręką na temblaku albo wlokący się o kulach. I to z mojej winy!

– Co ja narobiłem? Co ja narobiłem? – przez wiele dni powtarzałem po cichutku, mocno zawstydzony. Byłoby mi lżej na duszy, gdybym dostał porządne lanie – takie skórzanym pasem, po którym czerwona dupa puchnie, jak balon.

Pikuś zastrzelony

Po tragicznym zakończeniu żywota przez wilczura rodzice orzekli, że więcej nie będą trzymać tak dużego psa.

– Duży pies to duży kłopot! Nie będziemy skłócać się z sąsiadami – orzekła mama.

W rezultacie któregoś dnia pojawił się u nas drobny szczeniaczek. Był to piesek rasy szpic – bardzo przymilny, towarzyski.

Tata, który lubił duże psiska, spojrział na szczeniaczka i rzekł z dezaprobatą:

– To nie pies, to pikuś. Ot, mały pikuś i tyle.

W ten sposób odbyły się „chrzciny” naszego nowego nabytku. Pikuś to była biała kuleczka hałasu. Wystarczyło, że ktoś obcy stanął koło naszej bramy, a już rozlegało się trochę piskliwe, ale donośne, ujadanie. I wszędzie go było pełno, wręcz nie lubił usiedzieć na jednym miejscu. Zgodnie ze swoją psią naturą chciał rządzić na podwórku, ale przy swej drobnej posturze nie miał wielkich szans. Gdy skoczył do kocura, dostał pazurami w nos i z żałosnym skowytym schował się w kąt. Także rosły kogut i starsze kury dziobami uczyły psiaka, że jest tylko Pikusiem. Po tych doświadczeniach psiak przykolegował się do nas – dzieciaków. Chodził za

nami trop w trop, bo czuł się bezpieczny, a jednocześnie był w ruchu, mógł się wybiegać.

Chętnie brałem go na dłuższe spacery. A to w stronę doliny na Kadłubie, a to w stronę koszar albo na okoliczne pola. Z Pikusiem było mi raźniej. Może miałem jeszcze w pamięci moją pierwszą wyprawę „turystyczną”, którą znałem z opowieści rodziców. Miałem niespełna dwa lata, gdy cichcem wyszedłem za naszą bramę i ruszyłem hen przed siebie. Zabłądziłem wśród łąnów zbóż, może podreptałem za jakimś zwierzakiem albo kolorowym kwiatkiem? W każdym razie płaczącego bezradnie znalazł mnie jakiś litościwy człowiek i krążąc od domu do domu, w końcu przyprowadził do mamy. Ponoć wyglądałem jak mały obraz nędzy i rozpaczy – z nosa leciały mi smarki, ze spodenek kapały siki, nogi były podrapane w jakichś bodiakach, czepliwych roślinach.

A teraz miałem przy sobie Pikusia – niezawodnego przyjaciela, który do domu wracał, jak po sznurku.

Był słoneczny, ciepły dzień. Na miedzach pachniały rozgrzane piołuny, wabiły wzrok drobne kwiaty polne. Pikuś wypłynął spod miedzy zaspanego zająca, a potem stadko kuropatw i patrzył w moją stronę, czy podziwiam jego odwagę. I ta wielka zadziorność w małym ciałku go zgubiła. Nawet nie wiadomo kiedy podeszliśmy w stronę zaleszczyckiej szosy, po której ociężałe maszerował niemiecki żołnierz. W Pikusia wstąpiła jakaś niepokohamowana agresja. Rzucił się z donośnym ujadaniem w stronę żołnierza. Może zdenerwował go smród przeпоconych buciorów i munduru, może coś innego? Na próżno wołałem:

– Pikuś, do nogi! Wróc natychmiast! Wróc!

Ale piesek nadal ujadał i zbliżył się do żołnierza na jakieś osiemdziesiąt, a może sto metrów. Żołnierz przystanął, zdjął z pleców karabin, poprawił celownik i zaczął mierzyć do pieska.

– Pikuś, zostaw! Pikuś, wracaj! Wracaj! – nie skończyłem rozpaczliwie krzyczeć, gdy rozległ się głuchy strzał. Pikuś padł w trawę, a ja zmartwiały stałem w bezruchu, czekając na drugi strzał do mnie. Żołnierz popatrzył na mnie, a potem bez słowa powlókł się dalej. Podbiegłem do ukochanego pieska. Dostał kulę w tułów, leżał w

trawie dziwnie skręcony. Chwyciłem go na ręce i zacząłem biec w stronę domu.

– Jeszcze trochę, troszeczkę, zaraz będziemy w domu! Rodzice cię odratują. Odratują na pewno! – przemawiałem przez łzy. Wreszcie wpadłem do mieszkania.

– On strzelał... żołnierz... z karabinu... jeden raz! – mówiłem bezładnie.

– Boże, gdzie cię trafił? Pokaż ranę? Trzeba lecieć do lekarza! – lamentowali rodzice, sądząc, iż to ja dostałem kulą, bo byłem cały umorusany we krwi.

– On do Pikusia... za to, że ten na niego szczekał... – wyszlochałem rwącym się głosem.

– Ratujcie Pikusia! Ratujcie go! – błagałem rodzinę.

Tata dokładnie obejrzał pieska i powiedział beznamyślnie:

– Ten żołnierz musiał być snajperem, trafił Pikusia prosto w serce.

Gdy umęczony tragiczną wyprawą poszedłem spać, tata wyniósł zwłoki na skraj sadu i zakopał. Rano odkryłem świeżą mogiłkę, do której niejednokrotnie wędrowałem, a wtedy w uszach dźwięczało mi wesołe szczekanie małego, dzielnego Pikusia.

Głódówka po Chrupciu

Kiedy tata poszedł do I Armii Wojska Polskiego, która organizowała się w Rosji, na mnie spadło sporo prac fizycznych. Byłem teraz najstarszym, dwunastoletnim „mężczyzną” w rodzinie. W zimie szczególnie uciążliwe i wręcz niebezpieczne było nabieranie wody z głębokiej studni. Cembrowina była śliska, mocno oblodzona, wiadra z wodą ciężkie, trzeba było bardzo uważać, aby nagle nie wywinąć koziółka i nie fiknąć w wielometrową czeluść. A wody trzeba było naznosić sporo i do domu, i naszej trzódce, która składała się z krowy i konia.

Któregoś dnia znajomy rolnik przytaszczył w worku prosiaczka. Pulchniutki malec był mocno przestraszony, bezradnie szukał swej mamy. Gdy dostał ciepłego mleka, usnął w kącie kuchni. Delikatnie przenieśliśmy go do małego chlewika. Tak mi się spodobał, że od razu zdeklarowałem, iż będę go karmił. I robiłem to sys-

tematycznie, więc prosiak szybko się do mnie przyzwyczaił. Często zaraz po powrocie ze szkoły biegłem do niego z jakimś jedzeniem: mleczną zupą, tłuczonymi kartoflami, chlebem, zieleniną z ogrodu. Prosiak witał mnie radośnie głośnym chrząkaniem, więc przeważałem go Chrupciem. Bardzo lubił, gdy czochrałem go za uszami albo po grzbiecie. Nauczyłem się jego „mowy” i dla żartu dosyć udanie pochrząkiwałem, co go wprawiało w dobry humor i głośno mi odpowiadał.

Na podwórku robił się prawdziwy zamęt, gdy go wypuszczałem z małej zagrodki. Biegał zwinnie, szybko, jak piesek, z uciechą rozpędzał kury, poszturchiwał mnie w nogi, gdy przystanąłem i zachęcał do dalszych zabaw. Żwawo, z kwikiem uciekał przede mną albo ostro gonił, aż w końcu obaj mocno zziązani kończyliśmy kolejną zabawę. Gdy trochę podrosł, dosiadałem go jak konika. Trochę się tym denerwował, sapał pod balastem, ale posłusznie woził po podwórku. Oprócz standardowej karmy znosiłem mu różne smakołyki: jabłka, świeżą, młodą trawę, zieloną sałatę podkradaną z babcinej grządki. Ze smakiem zajadał także sałatkę specjalną – młodą pokrzywę sparzoną gorącą wodą. Ta opieka nad prosiakiem, wspólne z nim zabawy, w jakimś stopniu zastępowały mi brak Pikusia – wiernego, wesołego towarzysza zabaw i spacerów.

Biegł miesiąc za miesiącem, zadbany, dobrze karmiony Chrupcio rósł, jak na drożdżach. Niestety, czynił to na swoją zgubę. Spadło to na mnie niczym bomba z wojennego nieba. Na parę tygodni przed Wielkanocą po obiedzie, zresztą dosyć chudym, bo się nam nie przelewało, mama rzekła:

- Idą święta, trzeba będzie zrobić świniobicie!
- Jak to? Chrupcia zabić? Przecież to młody prosiak, taki sympatyczny!
- To już nie prosiak, a paciuk, tłusty paciuk! W sam raz pod nóż! – wtrąciła się babcia.
- Pod nóż, pod nóż... rzeźnia jakaś... no nie, nie! – zacząłem płakać i wybiegłem z kuchni.

Następnego dnia mama miała dla mnie dwie dobre wiadomości: Chrupcio jeszcze sobie pożyje, bo znajomy rzeźnik ma kolejkę do swych usług, a u nas sprawa zostanie załatwiona szybko – młody ruski oficer, który wynajął u nas kwatery, zgodził się Chrupcia zastrzelić, aby oszczędzić mu bólu i cierpienia. I rzeczywiście lejtnant po przyjściu z koszar sam mnie zagadał:

– A ty, malczuk, nie wołnujsia! Ja swiniu ubju oczeń bystro, odnoj puloj.

– Ale mi pociecha! Jedną kulą prosto w głowę albo w serce! – pomyślałem w duchu.

– Ja rozumiem, ja wsio poniał... – bąknąłem pod nosem i szybko zaszyłem się w jakiś kąt, żeby nikt nie widział moich łez. I nadszedł ten dzień – mama z babcią przygotowały dużo wody, gary, patelnie, zjawił się rzeźnik, a także lejtnant, który poszedł po pistolet. Bez słowa pobiegłem do chlewika, pogłaskałem Chrupcia, który grubym głosem chrząknął mi na pożegnanie i pognąłem daleko od domu. Wróciłem po kilku godzinach błakania się po okolicznych polach. Gdy wróciłem, Chrupcio był pocięty na kawałki, na patelni smażyło się jakieś mięso, w glinianym garnku stygł świeży smalec ze skwarkami.

– Zaraz wyjmę z pieca świeżutką kiszkę! Ty, synciu, pewnie strasznie głodny? – zagadała mnie babcia.

– Wcale nie jestem głodny! – odfuknąłem i wybiegłem do sadu, po którym dreptałem bez celu.

Na kolację przegryzłem trochę chleba, żadnego mięsa nie tknąłem. I tak trwało przez parę dni. Jadłem tylko to, co nie pochodziło z Chrupcia. Gdy za którymś razem na rozkaz mamy ugryzłem kawałek jakiejś pieczeni, ta zaczęła mi puchnąć w buzi. Jak niepyszny wybiegłem za dom, wsadziłem palce do gardła i wszystko wyrzygałem. Mój mały braciszek był tym wszystkim mocno skołowany. Widział, że rozpaczam po tuczniku, ale wiedział od dorosłych, że świnie są po to, żeby je zjadać. Moja zawzięta głodówka po zabiciu Chrupcia trwała z tydzień, może trochę krócej. Gdy któregoś wieczoru na talerzu przede mną pojawiła się pyszna, domowa kiełbasa, opór nagle się załamał, chuda, jarska dieta poszła w kąt.

Łapczywie rzuciłem się na pożywny rarytas. I z niejakim wstydem poprosiłem o jeszcze następny kawałek, a potem jeszcze jeden, bo byłem mocno wyposzczony. Ja żywiłem Chrupcia, a teraz Chrupcio w masarskich wyrobach przez wiele tygodni żywił nas – całą rodzinę. Niby było to proste, ale nie dla mnie.

Pocałunek podolskiej krowy

Z kresowego zwierzostanu w wagonie repatriacyjnym jechała z nami młoda, gniada klacz oraz jasnobrązowa krowa. Klacz początkowo źle znosiła szarpanie pociągu przez parowóz, nagłe hamowania czy stukot kół. A potem wpadła w stan jakiegoś odrętwienia – wszystko jej było obojętne. Poczciwa krowina miała z nami lepszy kontakt, nieraz zwracała rogatą głowę w naszą stronę, cichym porykiwaniem dopominała się o jadło lub napojenie. Gdy na kolejnym postoju przynieśliśmy zwierzętom świeżą wodę, krasula nagle polizała mnie po głowie, a potem swymi dużymi oczami długo patrzyła w stronę naszej gromadki, jakby chciała spytać: „Dokąd tak długo jedziemy, co nas tam spotka?” CDN.

Józef Zbigniew Siegel
Warszawa

Saga klanu Siegelów

Cz. II

III. Firma

Po szczęśliwie zakończonej wojaczce, dla pana Jana, cytując generała Wieniawę-Długoszowskiego – „*żarty się skończyły, zaczęły się schody*”. Dom, rodzina, dzieci oraz cel, dla którego przyjechał na Podole, a którym było propagowanie i wdrażanie nowej, prawie tam nieznaney technologii ogrzewania domów. Korzystając z dawnych austriackich kontaktów, sprowadził z Czechosłowacji partię kaflowych kominków. Pieniądze na wykupienie towaru z PKP zdo-

był sprzedając działkę przeznaczoną na wiano osieroconej Walerii, córki z pierwszego małżeństwa Marii. Właśnie tak rozpoczął się interes, czyli dzisiejszy biznes. Babcia Plecan, widząc rozpakowane kolorowe kafelki, załamała ręce i krzyknęła – „Co też ten Mazur narobił! Sprzedał pole stanowiące realną wartość, a nakupił glinianych czerepów”. (*W okresie zaborów, ale i później, w niektórych regionach Polski mianem Mazurów określano Polaków*). Kominki zainstalowane w kilku kresowych dworach pozwoliły na rozkręcenie kaflarskiego interesu, tak iż następne partie kafli sprowadzane były wagonami już z polskich fabryk.



Po kilku owocnych latach, Jan rozpoczął budowę własnej fabryki kafli w Czortkowie przy ul. Nadrzecznej, spodziewając się pokryć zapotrzebowanie na ten towar na całym polskim Podolu. W okresie międzywojennym zakład kaflarski mistrza Jana Siegela był typową firmą rodzinną. Trzon fachowców stanowili bliżsi lub dalsi członkowie rodziny. Czołówkę stanowili: Adam Budyś – siostrzeniec, Feliks Budyś – mąż Walerii, Paweł Budyś – brat Feliksa oraz dorastający do ich fachowego poziomu Wilhelm Siegel – syn mistrza. Ponadto kilku zaprzyjaźnionych fachowców było traktowanych jak członkowie rodziny.

Oprócz fachowców firma zatrudniała w razie potrzeby robotników niewykwalifikowanych jako pomocników. Ci ostatni, często bezrobotni, oprócz umownego wynagrodzenia otrzymywali w razie potrzeby opiekę. Dla przykładu: robotnik Sławek Moskał z powodu miłosnego zawodu podjął próbę samobójstwa, wypijając butelkę kwasu solnego. W magazynie kafli znalazł go Zbyszek. Nieprzytomnego, w stanie agonijnym. Firma zapewniła mu opiekę lekarską i domową – leczył go lekarz domowy rodziny, dr Rosenzweig, Żyd uratowany potem z Holokaustu przez rodzinę Błyszczuków, sąsiadów z ulicy Szopena.

O rozwoju firmy pana Siegela niech świadczy fakt wychowywania i kształcenia szóstki dzieci, zakupienia dla ośmioletniego Józefa Zbigniewa fortepianu krzyżowego i opłacenia w miejskiej elektrowni podciągnięcia linii elektrycznej na ulicy Szopena do ich domu pod numerem 21. Po raz pierwszy światło elektryczne zapaliło się w naszym domu w pamiętnym dniu 1 września 1939 roku, zastępując dotychczas stosowaną lampę naftową.

Przy okazji wspomnianych wyżej kominków warto przytoczyć zabawne zdarzenie. Na początku lat trzydziestych księżna Sapieżyna, żona brata kardynała Sapiehy, będąc przejazdem w Czortkowie, wstąpiła do naszego zakładu z zamiarem zakupu kominka do ich pałacu w Bilczach Złoty. Pod nieobecność kogokolwiek z dorosłych w zakładzie, kilkuletnia córka Wanda pokazała księżnej modele ceramiczne posiadanych kominków. Księżnej podobał się kominek importowany z Czechosłowacji. Wanda, chcąc uczciwie reprezentować firmę, wyjaśniała księżnej: – Prose pani! Ten kominek jest stary. Nikt nie chce go kupić! Ta swoista antyreklama odniosła wręcz przeciwny skutek. Właśnie ten czeski kominek mimo wysokiej ceny został zainstalowany w książęcym pałacu.

Wybuch drugiej wojny światowej i okupacja sowiecka przerwała okres prosperity zakładu Siegelów. Dzięki przychylności miejscowych bezrobotnych, którym Jan często pozwalał przetrwać biedę, nie został on wraz z całą rodziną zesłany na Sybir. Ci, kiedyś bezrobotni, często podejmowali współpracę z sowieckim okupantem polegającą przeważnie na denuncjacjach ludzi stanowiących według władz sowieckich zagrożenie dla systemu komunistycznego. Dla przykładu przytoczę ocenę stosunków panujących w firmie, jaką usłyszałem od jednego z byłych pracowników ojca. Odwiedził mnie już po wojnie, w 1951 roku w Brzegu nad Odrą. Powiedział: – Zbychu! Twój ojciec był kapitalistą i krwiopijcą. On żył z wyzysku robotnika. Ale dzisiaj ja bym chętnie na kolanach poszedł do pracy u pana Siegela. *(Cechy rzemieślnicze garncarzy i kaflarzy miały za godło postacie Adama i Ewy, w myśl zdania, że „z tejże materii Bóg czleka sposobił, z której garncarz piec działa i garnce wyrobił”.* Na pieczęci cechu z XVI wieku jest dzban gliniany, z którego wyrasta

drzewo, owinięte wężem, po bokach drzewa nagie postacie Adama i Ewy z jabłkiem w ręce. Na pieczęci z XIX wieku cechu kaflarzy w Krakowie jest wyrażone drzewo (wiadomości dobrego i złego) wyrastające nie z dzbana, a z ziemi z owiniętym koło jego pnia wężem, po bokach Adam i Ewa. Motyw drzewa i postaci Adama i Ewy były motywem przewodnim na pieczęciach, obrazach olejnych, ladach sklepowych itp.).

IV. Koligacje

W okresie międzywojennym czortkowska część rodziny potomków babci Plecan składała się z rodzin jej córek: Marii zamężnej z Janem Siegelem, Pauliny zamężnej z Michałem Koprem, Anny zamężnej z Emilianem Majkowskim. Wszyscy panowie pochodzili spoza Czortkowa. Te trzy rodziny przez cały czas, aż do wysiedlenia przez władze sowieckie w 1945 roku, utrzymywały ze sobą bardzo dobre, wręcz wzorowe, więzi rodzinne, a ich kolejne pokolenie współżyło ze sobą jak rodzeństwo. Dla przykładu podam, że osieroconym przez matkę małym Zbyszkiem opiekowali się dużo od niego starsi (niektórzy nawet o ponad 20 lat) cioteczni bracia i siostry. Zatem o nich słów kilka.

Koprowie – Tadeusz i Kazimierz, wychowywani przez owdowiałą już ciocię Koprową (jak ją wszyscy nazywali), „wyrośli na ludzi”. Tadeusz ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie pod opieką prof. Józefa Mehoffera (malarstwo) i prof. Xawerego Dunikowskiego (rzeźba). Ponadto przez dwa lata uzupełniał wykształcenie w Paryżu będącym przecież ówczesną mekką dla artystów z całego świata. Tam też otarł się o modną wówczas we Francji ideę komunistyczną i związany z nią ateizm. Artysta Tadeusz Koper po powrocie w 1937 roku z Paryża do Czortkowa otrzymał od o.o. dominikanów zamówienie na namalowanie obrazu Chrystusa do Grobu Pańskiego z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych. Pan Tadeusz zamówienie zrealizował nawet przed terminem. Wtedy jednak wybuchł skandal i wielka awantura. Chrystus na obrazie artysty Tadeusza został namalowany jako kompletnie nagi mężczyzna. Dominikanie za obraz zapłacili, ale zamiast do Grobu

Pańskiego trafił on na samo dno zakonnego magazynu. Tenże artysta w kilka miesięcy po zajęciu przez Sowieców Czortkowa 17 września 1939 roku został szybko i definitywnie wyleczony z nabytej w Paryżu komuny. Niewątpliwie zrozumiał, że przez swą awangardową sztukę sprzeczną z odczuciem proletariatu szybko może trafić do syberyjskiego łagru, gdzie będzie wysłuchiwał wiersza perfidnie puszczanego więźniom przez głośniki: „*Ja drugoj takiej strany nie znaju, gdzie tak wolno dyszyt czelowiek*”, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: „*Nie znam drugiego takiego kraju, w którym człowiek tak swobodnie oddycha wolnością*”.

Tadeusz wołał nie czekać na rozwój sytuacji i w styczniu 1940 roku, po powstaniu czortkowskim, szczęśliwie udało mu się wydostać spod sowieckiej okupacji przez Dniestr do Rumunii. Zbiegów z ojczyzny proletariatu było wielu, ale też wielu przyplącało to życiem lub zsyłką do łagru. Rumuni nie wydawali bolszewikom uciekinierów i dlatego nasz artysta był tam w miarę bezpieczny. Po pewnym czasie przedostał się do Francji, do tworzącej się tam armii Sikorskiego, gdzie zresztą zmierzało wielu Polaków rzuconych przez wojnę poza granice Ojczyzny.

Drugi Koper to Kazimierz. Zdał maturę w Gimnazjum im. J. Słowackiego w Czortkowie. Wziął udział w powstaniu czortkowskim w styczniu 1940 roku. Udało mu się przeżyć szczęśliwie obie okupacje: sowiecką do lipca 1941 roku i niemiecką do 1944. Zajmował się robieniem drobnych interesów, do których miał talent. Żartowano sobie z niego, że gdyby on został ministrem handlu zagranicznego, to sprzedałby nawet Arabom piasek z Sahary. Ożenił się z koleżanką gimnazjalną, a małżeństwo wzbogacił w 1940 roku o córkę Ewę.

Kolej teraz na drugą „Plecańską” rodzinę (jak ich w Czortkowie nazywano), którą była rodzina Majkowskich. Wujek Emilian Majkowski, emerytowany kolejarz, powrócił do Czortkowa ze Stanisławowa wraz z całą rodziną, tj. z ciotką Anną i czwórką dzieci: Stanisławą, Karolem, Antonim nazywanym nie wiedzieć czemu „Dziunkiem”, i najmłodszą Jadwigą. W latach 1933–1935 z uskładanych oszczędności wybudował piękny dom; murowany, kryty

blachą vis-à-vis domu Siegelów przy ul. Szopena. Najstarsza Stasia po ukończeniu seminarium (*seminarium nauczycielskie – dawny typ szkoły zawodowej kształcący nauczycieli*) została nauczycielką w Mołodecznie na Wileńszczyźnie. Tam wyszła za mąż za inżyniera leśnika o czeskim nazwisku Adamiczek, a po jego niespodziewanej śmierci w wyniku amputacji nogi wróciła do Czortkowa.

Drugi z Majkowskich, Karol, został kierowcą i w 1939 roku, uciekając wraz z falą uchodźców do Rumunii, dostał się do sowieckiej niewoli niedaleko rodzinnego domu, bo pod Zaleszczykami. Przy padkowo uwolnili go Niemcy i Karol niespodziewanie wrócił do Czortkowa. Tu jako kierowca dotrwał do 1944 roku, czyli do czasu ucieczki Niemców przed bolszewikami. Nie czekając na przymusową ewakuację zarządzaną przez Sowietów, wyjechał na zachód i ślad po nim zginął.

Antoni, czyli Dziunek, w latach trzydziestych zaciągnął się do służby więziennej i jako takiemu po wkroczeniu Sowietów groziło więzienie NKWD lub zsyłka do łagru na Sybir. W tej sytuacji Dziunek, podobnie jak Franciszek i Tadeusz Koper, uciekł do Rumunii i dalej do wojska polskiego we Francji. Z niepewnych informacji wiemy, że zginął w 1940 roku na północy Francji w walkach, jakie z Niemcami toczyła tam jego polska jednostka.

Z rodziny Majkowskich pozostała nam jeszcze Jadwiga, która jak ją wszyscy pamiętają, wodziła rej wśród podmiejskiej gromady młodzieży obojga płci. Dziewczyna z rodzaju tych, co to Sienkiewicz pisał, że mogła orzechy pupą zgniatać. (*Skoro przywołany został noblista, to aż się prosi o stosowny cytat z „Krzyżaków”, bo to i imię podobne, i sylwetka wypisz, wymaluj sienkiewiczowska. „Bo obok bogactwa, urody i dworności czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tym jeden głos, że „to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagła przysiędzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobys je młyńskim kamieniem przycisnęła”.*)

Letnie życie młodzieży koncentrowało się nad Seretem, a konkretnie na „basenie”, jak nazywano jaz ujęcia wody dla młyna.

Świetnie pływająca Jadzia grała tam pierwsze skrzypce i żaden osiłek nie odważał się jej narazić. Z Jadzią nie było dyskusji, ale w tym dobrym tego słowa znaczeniu. Jedynie Witold (Tolek) Furkał odważył się Jadzię „poderwać”. Skutecznie. Tolek, student Uniwersytetu Lwowskiego, w czasie okupacji sowieckiej i później niemieckiej okazał się majstrem „złotą rączką”. Jako chemik zorganizował domową produkcję mydła, którego brak w handlu szczególnie wszystkim dokuczał. To właśnie on, już pod okupacją niemiecką, zmontował radioodbiornik, który umożliwiał członkom akowskiego podziemia słuchanie audycji radia BBC z Londynu. Za radio ukryte w piwnicy domu Siegelów groziła kara śmierci. W czasie rewizji przeprowadzonej 8 grudnia 1943 roku Niemcy go nie znaleźli, a Zbyszek odbiornik schował w obejściach domu Majkowskich – i to bez ich wiedzy.

Rodzina Siegelów stworzona przez Jana z Marią de domo Plecan przez cały czas trwania na Podolu utrzymywała dobre stosunki rodzinne z bliskimi jej krewnymi, to jest Osuchami i Korczyńskimi prowadzącymi na przedmieściach Czortkowa niewielkie gospodarstwa rolne. Szczególne stosunki utrzymywał z nimi Zbyszek, który często wraz z kolegami odwiedzał tę gałąź krewnych, mając na uwadze doskonałe owoce w sadach ciotki Osuchowej lub Korczyńskiej.

Teraz kilka słów o rodzinie siostry Jana Siegela, tj. cioci Anieli Kowal z Przemyśla. Córka Krystyna, studentka medycyny, przed wybuchem wojny w 1939 roku została zmobilizowana jako sanitariuszka i wcielona do brygady pancerniej gen. Maczka (*wówczas była to 10 Brygada Kawalerii pod dowództwem płk. dypl. Stanisława Maczka*). Przeszła szlak bojowy Armii Karpaty aż do Lwowa, skąd po inwazji bolszewickiej 17 września wraz z brygadą dostała się na Węgry. Tu żołnierze z oficerami zostali internowani, a służby kobiece zostały przyjęte przez gościnne rodziny węgierskie. Krystyna podjęła dalszy ciąg studiów na Uniwersytecie Budapeszteńskim i wkrótce potem wyszła za mąż za asystenta Istvana Dery. Do końca wojny i po niej mieszkała ze swoją rodziną w Budapeszcie. Urodziła trójkę dzieci, w tym syna o imieniu – jakżeby

inaczej – Istvan, po ojcu. Ona, jak i jej węgierska rodzina, do tej pory utrzymuje kontakty ze wszystkimi Siegelami w Polsce i odwrotnie.



Żołnierze niemieccy przy zdobytym Vickersie Brygady Kawalerii płk. Maczka w Trzcianie pod Bochnią – wrzesień 39.

Dom cioci Anieli w Przemyślu przy ul. Wilczej został przez Moskali skonfiskowany, gdyż w 1940 roku zaczęto tam budować, w ramach tzw. „linii Stalina”, bunkier skierowany na Zasanie, tj. w kierunku zachodnim. Najstarsza córka Janina przeszła przez Oświęcim (Auschwitz), zmarła w latach sześćdziesiątych. Najmłodsza córka Łucja (Lusia) po wojnie zdała maturę i podjęła studia medyczne we Wrocławiu. Po przejściach miłosnych popełniła samobójstwo.

W 1943 roku ciocia Aniela Kowal przyjechała do Czortkowa, aby zdobyć trochę żywności, gdyż w Przemyślu były duże trudności z jej zakupem. Bratu, czyli Janowi, udało się zaopatrzyć siostrę w dość ciężki bagaż żywnościowy. Jako trzynastoletni, już nie Zbyszek, a „dorosły” Zbigniew, chętnie podjąłem się zadania towarzyszenia cioci w kolejowej podróży aż do Przemyśla. Pozosta-

łem tam prawie dwa miesiące i chłonałem uroki miasta, będąc urze-
czony jego architekturą.

Drogę powrotną odbyłem już sam. We Lwowie pierwszy raz
w życiu jechałem tramwajem – „bohatersko”, bo na gapę ! Cdn.

Mila Sandberg-Mesner

Montreal – Kanada

Odgłosy Zaleszczyk

Kiedy wracam myślami do Zaleszczyk –miasta, w którym
dane mi było przeżyć szczęśliwe dzieciństwo i wczesną młodość, na
ekranie mojej pamięci wyświetla się piękny, kolorowy film. Jest to
film dźwiękowy.

Najgłośniej brzmi w nim muzyka nadawana przez megafony
w pobliskim parku o nazwie „Gry i zabawy” – znaliśmy na pamięć
teksty piosenek nadawanych z płyt i podśpiewywaliśmy do wtóru.
Ogromnie bawiły nas kuplety w wykonaniu Bolesława Norskiego-
Nożycy pt. „Jestem chory”:

Nie wiem, czy to kotlet świński

Latam tak, jak Kusociński

Co godzina cztery razy, to nie wic

Państwo myślą, że to blaga

Już rycyna nie pomaga

Ram bam barum, ani smarum, ani nic

Kuplety te nadawano również z megafonów na plaży Słonecznej w Zaleszczykach, która specjalizowała się głównie w utworach rozrywkowych. Na plaży Cienistej królowała popularna muzyka klasyczna – np. marsze tureckie Beethovena i Mozarta, „Dla Elizy”, „Na perskim rynku”, itp.

Jak w każdym szanującym się uzdrowisku, na obydwu zaleszczyckich plażach znajdowały się zadaszone altany dla orkiestry. Przez cały sezon grała w nich orkiestra dęta stacjonującego w naszym mieście Korpusu Ochrony Pogranicza – młodzi żołnierze w zapiętych po szyję mundurach grali w upale na przemian na plaży Słonecznej i Cienistej– mieli w repertuarze marsze wojskowe i walce

wiedeńskie. Widziałam, jak pot ściekał im po twarzach i szczerze im współczułam.

Z kawiarni „Warszawianka” dochodziły dźwięki muzyki klezmerskiej – grało tam regularnie trio Szymy Srula; wieczorami ten sam zespół akompaniował przy projekcji niemych filmów wyświetlanych w Sali „Sokoła” – ale to zupełnie inna historia...

Pamiętam również doroczne obchody dożynkowe – przedstawiciele okolicznych wsi paradowali przed trybuną, na której starosta Józef Krzyżanowski przyjmował piękne wieńce splecione z kłosów i winogron. Uczestnicy parady śpiewali tradycyjną pieśń „Plon niesiemy, plon w gospodarza dom”; niektórzy grali na trombitach i fujarkach.

Życie kulturalne ukraińskich mieszkańców Zaleszczyk skupiało się wokół Domu Ludowego (Narodnyj Dim). Byłam tam z okazji jakiegoś ukraińskiego święta i do dzisiaj dźwięczą mi w uszach wspańiałe pieśni w wykonaniu miejscowego chóru – takich basów i barytonów nie powstydziliby się najlepsza opera. Chór ten śpiewał również w cerkwi.

Polskie imprezy teatralno-muzyczne w Zaleszczykach odbywały się w sali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Raz w miesiącu występował tu Pokucko-Podolski teatr objazdowy z siedzibą w Stanisławowie (widziałam w ich wykonaniu „Intrygę i miłość” Schillera). Czasami przyjeżdżała do Zaleszczyk operetka objazdowa – pamiętam „Lizystratę” Paula Lincke – zapamiętaliśmy na długo słynną arię z tego spektaklu „Lecą świetliki, lecą, lecą...”.

W Sali „Sokoła” regularnie koncertował zespół kameralny pod dyrekcją Józefa Schwartza. Pamiętam „Poranek” Griega w ich wykonaniu.

Odbywały się tu capstrzyki (akademie) z różnych okazji o charakterze narodowo-patriotycznym – np. 3 maja, 11 listopada, itp. Brał w nich udział nasz chór gimnazjalny pod dyrekcją Zdzisława Kulińskiego. Chór miał w repertuarze zarówno pieśni religijne:

Aniele ziemski bez winy,

Ozdobo naszej krainy!

Wejrzyj z niebios dziś łaskawie

Na nas, święty Stanisławie!

...jak i piękną pieśń Stanisława Moniuszki:

Postój, piękna gołąbeczko, pogruchamy z sobą.

Nie mam czasu, gołąbeczku,

Gruchać dzisiaj z tobą.

Zarzucili sieci na me małe dzieci

Wczorajszego dnia.

Mieliśmy również niezbyt zgraną, acz ambitną orkiestrę mandolinistów pod opieką prof. Holovatego zwanego przez nas Franiem. Pierwszy występ mieliśmy na capstrzyku z okazji Święta Niepodległości – 11 listopada 1937 roku. Był to koncert złożony głównie z pieśni legionowych. Zanim wybuchła wojna, zdążyliśmy jeszcze uświetnić kilka innych capstrzyków...

Wszystko to umilkło 1 września 1939 roku.

Martyna Grądzka-Rejak

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. II – Rodzina Linkiewiczów

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl

W czasie wojny rodzina Linkiewiczów mieszkała we wsi Hinkowce k. miejscowości Tłuste, pow. Zaleszczyki, w woj. tarnopolskim. Antoni był rolnikiem, ale w okresie przedwojennym pracował także w przedsiębiorstwie, którego właścicielem był Izaak Merdinger. Mężczyźni znali się, co w czasie okupacji okazało się mieć nie lada znaczenie. Linkiewiczowie ukryli rodzinę Merdingera i ocalili ją od zagłady.

Pomoc Linkiewiczów dla czteroosobowej rodziny Izaaka Merdingera, dwóch braci Schechnerów, Oskara Schechnera z synem Gabrielem oraz siostrą Hindą i siostrą Klarą Spektor wraz z mężem Markusem, Maksymilianą i Różą Lererów oraz ich córki Dory trwała od 1942 r. do marca 1944 r. Łącznie u Linkiewiczów ukrywało się czternaście osób.

Anna Bujnowska, córka Antoniego, wspominała: „Zanim podjęliśmy rodzinną decyzję, ojciec zobowiązał nas do przysięgi. Jej treścią było nie wydawanie ukrywanych Żydów nawet w przypadku zagrożenia śmiercią”.

Przygotowano dla nich specjalną podziemną kryjówkę. Została ona wzmocniona i wyposażona w drewniane prycze z siennikami, sprzęt do przygotowywania posiłków oraz oświetlenie. Ukrywający się Żydzi dostarczali pieniądze niezbędne do zakupu żywności dla tak licznej grupy. Razem z Linkiewiczami pomoc nieśli także członkowie rodziny Dolińskich.

Prócz żywności Linkiewicz dostarczał Żydom także prasę, by chociaż częściowo mogli się zorientować w sytuacji rozgrywanej się na frontach. Oskar Schechner prowadził dziennik, w którym opisywał życie codzienne w ukryciu, a także pomoc niesioną przez Linkiewiczów.

Każdy z członków polskiej rodziny w akcji pomocowej pełnił określoną funkcję. Zadaniem Antoniego było dostarczanie pożywienia, dzieci – Sławomir i Anna – organizowały drewno, zaś ich macocha Genowefa, prócz gotowania, pozyskiwała informacje o planowanych przez Niemców akcjach. Ponadto Anna i Genowefa na zmianę zajmowały się przygotowywaniem posiłków oraz pilnowaniem grupy ukrywanych i ostrzeganiem wszystkich przed Ukraińcami.

Anna Bujnowska relacjonowała po wojnie, że Niemcy i ukraińscy nacjonałiści poszukiwali u nich Żydów. Członkowie rodziny byli nawet torturowani przez Ukraińców, by ujawnili, gdzie jest skrytka. Annę torturowano m.in. przez przykładanie do ciała rozgrzanych, żelaznych przedmiotów. Pomimo tego nie wydali ich. Żydzi przetrwali do końca wojny.

W 1944 r., po zakończeniu okupacji, z rąk ukraińskich nacjonalistów karzących za pomoc Żydom, zginęli Genowefa i Sławomir (w niektórych relacjach jego imię to Jarosław). Uratowani Żydzi wyjechali później do Izraela i USA. Anna Bujnowska utrzymywała kontakt z tymi, którzy zamieszkali w USA, zmarła w 1998 r. Jej ojciec Antoni zmarł w 1981 r. Rodzina Linkiewiczów tytuł

„Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” otrzymała pośmiertnie w 2009 r.

Jakub Jaskółowski

Podolanie „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata” Cz. III – Rodzina Hutników

Przedruk ze strony: www.sprawiedliwi.org.pl



Józef (widoczny na zdjęciu po lewej) nie znał przed wojną Żydów, których jego rodzina ukrywała w ziemiance pod obejściem domu. Hutnikowie prowadzili gospodarstwo w Łanowcach pod Borszczowem na Podolu.

Z tego, co Józef pamięta, czterech Żydów – zegarmistrza z Borszczowa z żoną oraz spokrewnione z nimi małżeństwo, Sarę i Mosze Rozembergów z pobliskich

Zaleszczyk – przyprowadził krewny ojca o nazwisku Czubak. Według Hutnika Mosze był dentystą².

To było pod koniec wiosny albo na początku lata 1942 roku. Józef pamięta, bo kilka tygodni wcześniej jakiś bandyta zamordował jego siostrę.

Żydzi mieszkali w podziemnej kryjówce obok domu Hutników przez prawie dwa lata. Tylko na początku ryzykowali wychodzenie z niej i przenosiny na strych, gdzie było sucho, ciepło i można było obcować z dziennym światłem.

² W „Na Rubieży” nr 24/1997, s. 33, Ludwik Mijał podaje, że Sara i Mosze Rozembergowie z Zaleszczyk ukrywali się u Hutników nie z małżeństwem zegarmistrza, a wraz z synami: jubilerem Roze i dentystą Szime – przyp. autora.

Gdy w 1943 r. zaczęły się polowania na ukrywających się Żydów, zeszli na stałe do bunkra pod ziemią.

Hutnikowie obawiali się sąsiadów, Niemców i ukraińskich nacjonalistów. Przez pewien czas w ich domu przebywało również kilku żołnierzy niemieckich, którzy wybrali go sobie na kwaterę. Ukrywanie Żydów było wówczas wyjątkowo niebezpieczne.

Józef Hutnik wspomina Rozembergów i ich przyjaciół jako bardzo inteligentnych i uprzejmych ludzi. Być może przyjaźniliby się do dziś, gdyby Żydzi przeżyli wojnę. Gdy w marcu 1944 r. Borszczów na kilka tygodni znalazł się w rękach nacierających wojsk radzieckich, zegarmistrz postanowił pójść do miasta.

Pech chciał, że w tym samym czasie przebijający się ze wschodu Niemcy zajęli miasto i Roze znalazł się w potrzasku. Złapali go działający w okolicy żołnierze UPA. Zmusili go do wskazania kryjówki obok domu Hutników, gdzie zamordowali nie tylko Rozembergów, ale i Władysława Hutnika.

Mord na ojcu i Żydach Józef obserwował ukryty w stercie obornika: „Ja rano popatrzyłem się, tu ojciec leży, a oni dalej, a tam widziałem srebrzą się skrzypce (...) Matka z piwnicy przyszła rano, widziała, że pobici. No, pobici są. Teraz wujek tam przyszedł (...) zapłakał trochę i zabrał rodzinę do miasta. Uciekł, bo się bał”³.

Igor Megger
Poznań

„Przygoda” Josipa Broz Tito na Podolu

Myślę, że postać jugosłowiańskiego przywódcy Josipa Broz „Tito” znają wszyscy czytelnicy „Głosów”. Pomimo swoich komunistycznych poglądów jest on osobą odbieraną wśród społeczeństwa byłej Jugosławii, jak i poza jej granicami pozytywnie. Niewątpliwym wpływ ma na to jego niezłomna postawa jako przywódcy ruchu

³ Na stronie internetowej artykułu brak informacji o dacie nadania tytułu „Sprawiedliwych” dla rodziny Hutników – przyp. red.

partyzanckiego w czasie II wojny światowej, opór, jaki stawiał Stalinowi na próby narzucenia mu sowieckiej wersji komunizmu oraz dobrobyt, jakim cieszyło się społeczeństwo Jugosławii pod jego rządami.

W literaturze poświęconej tej postaci znalazłem wzmiankę o jego pobycie na Podolu i znaczących tego następstwach. Josip Broz jesienią 1912 roku w wieku 20 lat został powołany do armii austro-węgierskiej. Do wybuchu wojny zdobył szlify podoficerskie, a także cesarskie wyróżnienie za udział w zawodach szermierczych. Po wybuchu I wojny światowej jako żołnierz 25 pułku 42 Dywizji Domobranów walczył na froncie serbskim w dwóch austriackich ofensywach. Uczestniczył we wszystkich najważniejszych bitwach tej kampanii w zachodniej Serbii oraz w słynnych bitwach na górze Cer i nad Kolubarą. Jego dywizja odegrała także bardzo ważną rolę w oblężeniu Belgradu.

W kampanii na froncie bałkańskim młody Broz wykazał się dużym zaangażowaniem, bowiem w ciągu kilku zaledwie miesięcy awansował do stopnia starszego sierżanta. Był przy tym najmłodszym o takim stopniu żołnierzem w 42 Pułku, a nawet, jak twierdzą niektórzy, w całej armii austro-węgierskiej. Za kampanię na froncie serbskim otrzymał Mały Srebrny Medal za Odwagę. Jego udział w walkach z Serbami na froncie bałkańskim był utrzymywany później w tajemnicy, a sam Tito nie przyznawał się do tego. Twierdził wręcz, że za odmowę walki z Serbami został uwięziony, czemu przeczy fakt jego awansu, a także odznaczenie, które otrzymał.

W styczniu 1915 roku został wysłany na wschodni front w Galicji, gdzie za wzięcie do niewoli 11 żołnierzy rosyjskich przez jego czteroosobowy patrol w miejscowości Krzywotuły Stare⁴ został na wniosek dowódcy swojego batalionu odznaczony po raz drugi medalem za odwagę.

Na początku kwietnia, po dwuipółmiesięcznych walkach, został ranny – najpierw w lewą rękę odłamkiem pocisku haubicznego, który zabił 13 jego towarzyszy, a kilka dni później został ciężko

⁴ Koło Tyśmienicy w woj. stanisławowskim.

ranny od ciosu lancą w pierś i łopatkę. Wtedy to, 25 marca 1915 roku (prawdopodobnie, choć pojawiają się daty w zakresie od 21 marca do 12 kwietnia), jego jednostka zmasakrowana została przez czerkieską jednostkę konną o nazwie „Divlja Divizija” (Dzika Dywizja), a on sam został ranny w czasie walki z napastnikiem. Po odniesieniu drugiej rany dostał się do rosyjskiej niewoli. Sam Tito tak to wspominał:

„...ale nagle prawa flanką ustąpiła i przez lukę wylała się kawaleria Czerkiesów z azjatyckiej Rosji. Konie i rzucanie się do naszych okopów z opuszczonymi włóczniami. Jeden z nich wbił dwumetrową, żelazną, dwuzębną lancę w moje plecy tuż pod lewym ramieniem. Zemdląłem. W międzyczasie odbyła się rzeź rannych, nawet siekano ich nożami. Na szczęście piechota rosyjska dotarła na pozycje i położyła kres orgii”.

Dowództwo jego jednostki, nie mając jakichkolwiek wieści, uznało go za poległego, co widoczne jest na liście poległych ogłaszanej przez austro-węgierskie Ministerstwo Wojny za dni 10–12 kwietnia 1915 roku.

Po 13 miesiącach spędzonych w szpitalu trafił do obozu w



Ałatyrze na Uralu, gdzie więźniowie wybrali go na swojego reprezentanta. Na miejscu Rosjanie tworzyli korpus ochotników słowiańskich. Po kryzysie przysięgowym, kiedy to 70 (w tym Tito) ochotników zaprotestowało przeciw przysiędze na wierność królowi Serbii, został uwięziony. W latach 1916–1920 tułał się po Rosji, będąc m.in. w Finlandii, w Petersburgu i Omsku.

Josip Broz Tito z psem Luksem, który to, w czasie bitwy pod Sutjeską w czerwcu 1943 uratował mu życie zakrywając go podczas ostrzału

Jeszcze w szpitalu dowiaduje się o działalności partii komunistycznej, do której próbuje wstąpić dopiero po kilku latach, a jego deklaracja przyjęcia w 1920 roku zostaje potraktowana odmownie. W styczniu, na wieść o powstaniu chorwackich chłopów, przez Estonię, Szczecin, Niemcy i Austrię wraca po sześciu latach tułaczki do nowo powstałej Jugosławii (wtedy jeszcze znanej pod nazwą Królestwa SHS – Serbów, Chorwatów i Słoweńców). Tam też od początku działa w ruchu komunistycznym, wstępując w 1923 roku do partii i szybko awansując.

W okresie międzywojennym staje się jednym z czołowych działaczy ruchu komunistycznego w Jugosławii, w okresie wojny jest twórcą komunistycznej partyzantki która sama wyzwoliła swój kraj od Niemców, a dzięki swoim zasługom, i autorytetowi aż do śmierci w 1980 roku był przywódcą Jugosławii. Jego pogrzeb zgromadził dziesiątki przywódców państw świata, zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu.

Czytając materiały na temat Tity, zaciekawilo mnie, czy do niewoli nie dostał się na Podolu. Analizując miejsca walk żołnierzy cesarza Franciszka Józefa, można było bowiem śmiało przyjąć, że otrzymanie rany i dostanie się do niewoli nastąpiło na pograniczu Bukowiny i Podola. Problematiczne dla mnie stało się ustalenie dokładnego miejsca, gdzie Tito dostał się do niewoli. W większości źródeł ogólnie jest wymieniana Galicja, Karpaty lub Bukowina. W jednej pozycji wymienione są miejscowości, w których walczył przed dostaniem się do niewoli. Są to wieś Okno k. Horodenki i Chocim⁵. Dopiero na rosyjskojęzycznej Wikipedii znalazłem informację (popartą źródłami), że został ranny nad Dniestrem w okolicy wsi **Mytkiw** (ukr. Митків) w obecnym rejonie czerniowieckim. W okresie międzywojennym wieś ta znajdowała się po rumuńskiej stronie Dniestru, mając po drugiej, polskiej stronie rzeki wieś Sińków znajdującą się 16 km na wschód od powiatowych Zaleszczyk. Co ciekawe, nawet w wielokrotnie tłumaczonych biografiach Tity:

⁵ Jerzy Woydyłło, *Tito, jakiego nie znamy*, Warszawa 1991, s. 19.

serbskiego historyka Pero Simicia⁶ czy słoweńskiego Joze Pirjevca⁷ brak dokładnej daty i lokalizacji.

Mało jest przypadków, by losowe zdarzenie, które miało miejsce w naszej małej ojczyźnie, zyskało taki wpływ na losy narodów czy wręcz Europy. Śmiało można powiedzieć, że owa „czterkieska lanca” na podolskim pograniczu taki wpływ miała.

Jerzy Miller

Poznań

Zapomniani pisarze z Podola

Cz. IV – Jan Potocki (1761–1815)



Jan Potocki urodził się 8 marca 1761 roku w Pikowie na Podolu (obwód winnicki). Był on barwną postacią polskiego oświecenia, obecnie rozpoznawalną przez film „Rękopis znaleziony w Saragossie” w reżyserii Wojciecha Hasa. To adaptacja powieści „Manuscrit trouvé à Saragosse”

Jan Potocki – hrabia wykształcony w Szwajcarii, Francji, tworzył wyłącznie w języku francuskim. Działał w Polsce jako poseł na Sejm Wielki i założyciel Drukarni Wolnej. J. Potocki zachwycony był ideałami filozofii i społeczeństwa francuskiego oświecenia. Zdobył rozgłos, gdy 14 maja 1790 roku wznosił się balonem nad Warszawą wraz z J.P. Blanchardem.

Wykorzystał zainteresowanie innymi kulturami, cywilizacjami, odbywając wiele podróży, między innymi do Turcji, Egiptu, Maroka, na Kaukaz, nawet do Mongolii, gdzie udał się jako kierownik ekipy naukowej. Relacje z podróży Jana Potockiego dostały się do historii literatury polskiej i stały się wzorowym kanonem tego gatunku literackiego w dobie oświecenia.

⁶ Pero Simić, *Tito. Zagadka stulecia*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009.

⁷ Joze Pirevec, *Tito*, Warszawa 2018.

Na długo przed wybitnymi polskimi historykami, archeologami, podjął poważne studia nad prehistorią Słowiańszczyzny, wysnuwając na ten czas tezy o pochodzeniu plemion słowiańskich. Zajmował się też chronologią najdawniejszych dziejów powszechnych.

Jan Potocki – jako historyk, podróżnik, prozaik – pod koniec życia osiadł w swoim majątku rodzinnym w Pikowie, gdzie 2 grudnia 1815 roku zmarł śmiercią samobójczą.

Redakcja

Województwo tarnopolskie na łamach „Kresowej Atlantydy”

Znany nam wszystkim prof. Stanisław Sławomir Nicieja od roku 2012 wydaje cykl pięknie opracowanych i bogato ilustrowanych książek pod nazwą „Kresowa Atlantyda”. Z powodu ceny oraz faktu, że są one trudno dostępne w księgarniach, niełatwo jest uzbierać komplet. Do chwili obecnej (listopad 2022) ukazało się 18 tomów. Poniżej prezentujemy listę miejscowości z naszego województwa, które były na ich łamach poruszane. Lista ta pomoże czytelnikom odszukać interesujące ich pozycje przed zakupem. Profesor Nicieja zamierza wydać łącznie 30 tomów, a więc przekroczył już z planowanych połowę.

Mamy nadzieje, że Pan Profesor na tym nie zakończy – przypominamy, że nasze województwo liczyło 17 powiatów z blisko 40 miejscowościami z prawami miejskimi oraz setki mniejszych miasteczek, majątków, wsi czy przysiółków.

Życzymy autorowi powodzenia oraz zawziętości w pracy, oraz przekroczenia planowanej liczby 30 tomów.

Miasta powiatowe

Brzeżany – tom I

Buczacz – tom XIV

Tarnopol – tom I

Trembowla – tom XVII

Zaleszczyki – tom III

Zbaraż – tom XII

Złoczów – tom X

Pozostałe miejscowości

Jazłowiec (pow. Buczacz) – tom XVII

Koropiec (pow. Buczacz) – tom XII

Kozaki (pow. Złoczów) – tom X

Okopy św. Trójcy (pow. Borszczów) – tom XVII

Olesko (pow. Złoczów) – tom XII

Podhorce (pow. Brody) – tom XII

Świrz (pow. Przemyślany) – tom XVI

Zadwórze (pow. Przemyślany) – tom X

Igor Megger

Poznań

Zjazd Czortkowień – Warszawa 4.09.2022

Doroczny zjazd, a właściwie spotkanie byłych mieszkańców ziemi czortkowskiej i ich rodzin, odbyło się po dwuletniej przerwie 4 września br., tradycyjnie w pierwszą niedzielę września i tradycyjnie w kościele pw. św. Jacka w Warszawie.

Jest to tradycja trwająca ponad 30 lat. Miejsce to nie jest przypadkowe – tam też znajduje się oryginalny wizerunek Matki Boskiej Czortkowskiej z Różą, oraz pamiątkowe tablice ku pamięci pomordowanych i poległych czortkowień.

Spotkanie rozpoczęła różaniec święty o godz. 11.30 w intencji zmarłych w ostatnim czasie czortkowień. Po różańcu odprawiona została msza święta także w intencji zmarłych i żyjących czortkowień oraz o beatyfikacji czortkowskich zakonników - dominikanów zamordowanych przez NKWD w 1941 roku.

W homilii podkreślono udział czortkowień dla niepodległości kraju, wspomniano ich sytuację dawniej i teraz, a także przybliżono sylwetki pomordowanych zakonników. Jednym z koncelebrujących był nasz krajan spod Czortkowa ojciec Józef Bielawski.

Po mszy św. uczestnicy spotkali się w parafialnej salce, aby wspominać dawne dzieje. Niestety z roku na rok frekwencja jest

coraz mniejsza. Wraz z osobami towarzyszącymi i przedstawicielami dominikanów w spotkaniu wzięło udział 20 osób, poza dwoma przypadkami wszyscy byli z Warszawy. Miłymi gośćmi była ekipa filmowców z Wirtualnego Muzeum – Portalu Dziedzictwa Kresów w Przemyślu, którzy rejestrowali spotkanie (od nich pochodzą także zdjęcia do artykułu, za co dziękujemy). Spotkanie zakończono około godziny 15.00.

Uczestnicy serdecznie dziękują Róży Sokołowskiej za organizację spotkania – zjazdu, które w ostatnich latach właściwie organizuje sama.

P. Róża zaproponowała spotkanie opłatkowe czortkowiek w tym samym miejscu i godzinie 15 stycznia 2023, na które już teraz zapraszamy wszystkich chętnych. Osoby zainteresowane zapraszamy serdecznie także dlatego, iż może to być ostatnia okazja spotkania się w czortkowskim gronie – wobec malejącej frekwencji i sił organizatorów. Na zakończenie pragnę dodać, że w trakcie zjazdu odbyła się zbiórka –składka na pomoc dla siostr dominikanek w Czortkowie. Uzyskaną kwotę w sumie 483 zł przekazano na konto siostr dominikanek. Na fotografii uczestnicy zjazdu⁸.



⁸ Już po zamknięciu numeru doszła do nas wiadomość o śmierci p. Róży. Sprawa spotkania opłatkowego jest zawieszona, a przyszłość wrześniowych zjazdów powinna rozstrzygnąć się w połowie przyszłego roku o czym poinformujemy.

Janina Stadnik

Nysa

XXXV Jubileuszowy Tarnopolski Zjazd Kresowian

Ruch kresowy stanowi bogatą kartę w najnowszej historii. Już wcześniej mieszkańcy tarnopolszczyzny pozbawieni swoich "małych ojczyzn", często z tragicznym bagażem wojennych doświadczeń, przytłoczeni tęsknotą, spotykali się na pół konspiracyjnie na okolicznościowych mszach, koleżeńskich spotkaniach lub w domach prywatnych. Ruch kresowy poszczycić się może wieloma dokonaniem na rzecz pozostałych na Wschodzie rodaków, ratowania zabytków utrwalania pamięci o znaczeniu tych ziem dla tożsamości narodowej.

Dawni mieszkańcy Ziemi Tarnopolskiej, a także sympatycy i potomkowie wielowiekowej historii i kultury utraconych Kresów Wschodnich spotykają się na corocznych zjazdach od 1959 r. Od 1986 r. zjazdy zaczęto ewidencjonować. Obchodzony jubileusz jest już znaczący. W dniach 06-10 czerwca 2022 r. tarnopolanie spotkali się na XXXV Jubileuszowym Tarnopolskim Zjeździe. Siedzibą spotkania był Hotel "Sudety" w Głuchołazach.

Zjazd rozpoczęto od przywitania przyjezdnych i uroczystej kolacji. Następnie udano się na spacer po parku zdrojowym Głuchołaz i kąpiele lecznicze w wodzie przystosowanej do tych zabiegów. W czasie każdego spotkania organizujemy wyjazdy do ciekawych miejsc, aby móc połączyć je ze zwiedzaniem Opolszczyzny i jej wyjątkowych walorów przyrodniczych oraz zabytków. W Kłodzku zobaczyliśmy Minieuroland, Twierdzę Kłodzką, w Paczkowie Muzeum Gazownictwa oraz Muzeum Motoryzacji i Techniki, a także unikatową atrakcję na Opolszczyźnie- mury obronne z XVI w tzw. polskim Carcassonne.

Następnego dnia 9.06.2022 udaliśmy się śladami Marszu Śmierci – drogi do Nysy odbytej przez więźniów obozu oświęcimskiego, finalnie rozstrzelanych przez hitlerowców. Mieliśmy także możliwość zwiedzenia Stacji Uzdatniania Wody w Sistrzechowicach oraz wiekowej biblioteki w zabytkowych murach kościoła p.w. św. Elżbiety. Głównym punktem zjazdu była uroczysta msza święta w intencji zmarłych i żyjących Kresowian oraz ich potomków, odprawiona w zabytkowym kościele p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny przez ks. z Tarnopola, Andrzeja Maliga. Tego samego dnia, o godz. 15. Udaliśmy się na akademię do pojezuickiego kompleksu budynków szkolnych nyskiego Carolinum, w którym kształciły się znakomite postaci, m.in. Michał Korybut Wiśniowiecki czy Jakub Sobieski. Uroczystość rozpoczął młody pianista Maksymilian Stadnik utworem „Nuvole Bianche” kompozycji Ludovica Einaudego, następnie odśpiewano hymn państwowy i uczczono minutą ciszy pamięć zmarłych od ostatniego zjazdu Tarnopolan. Powitano gości, władze samorządowe oraz przybyłą lokalną społeczność. Recytowano wiersze, do których oprawę



muzyczną wykonywał pianista. Wysłuchano prezentacji p. Teresy Aranowicz pt. "Obrazy świata minionego – Wspomnienia mieszkańców Nysy". Zespół Stokrotki Senior 50+ z Nyskiego Domu Kultury pod kierunkiem Jolanty Sajek-Stadnik wystąpił w pięknych strojach w tańcach solo i w parach.

Uroczystość odbywała się pod Patronatem Honorowym Marszałka Województwa Opolskiego. Współorganizatorami byli Starostwo Powiatowe w Nysie i Burmistrz Nysy. Osobom tym i patronom medialnym za udzielone wsparcie i pomoc, jako organizatorka całego zjazdu i jego programu, oraz jako Przewodnicząca Klubu Tarnopolan w Nysie serdecznie dziękuję!

Maria Sikorzyńska
Warszawa

Warszawa: Obchody 79 rocznicy Rzezi Wołyńskiej

Warszawskie obchody 79 rocznicy mordów Polaków przez bandy UPA i chłopów ukraińskich, był rozłożone na dwa dni 9 i 11 lipca br.

9 lipca Stowarzyszenie "Wspólnota i Pamięć" zorganizowało sesję referatową, której I część poświęcono debacie pt. "Pryzmat praktyki nad historią? Wołyń a poprawność polityczna" którą prowadził Paweł Zdziński. W czasie debaty wystąpili: dyr. Chlebowicz z IPN (zakaz ekshumacji Polaków na Ukrainie, mnogość flag banderowskich), Leszek Żebrowski (o manipulacjach, że to polskie oddziały są sprawcami ludobójstwa), prof. Kawęcki (o głosach, by Polacy zapomnieli o Kresach), dr. Jabłonka, oraz – w wersji audio – p.Kulińska.

II część debaty poświęcona była tematowi "Wołyń a relacje Warszawa-Kijów" oraz "Jak rozmawiać o ludobójstwie w sytuacji wojny na Ukrainie". Debata prowadził p. Roman Plewa. Na powyższe tematy wypowiedzieli się następujący redaktorzy: Sumliński, Pospieszalski, Lisiecki i Michalkiewicz - którzy wspólnie stwierdzili,

że niema złego momentu na mówienie prawdy o zbrodni wołyńskiej, a obecny czas, mimo stanu wojny, jest dobry, gdyż wobec wielkiej współpracy można wiele spraw wyjaśnić. Po zakończeniu debaty wyświetlono film "Czas pamięci".

11 lipca br. w 79 rocznicę "Krwawej Niedzieli" została odprawiona msza święta w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w intencji ofiar rzezi oraz za zmarłych i żyjących żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Mszy przewodniczył wikariusz generalny biskupa polowego, a koncelebrowali ją proboszcz katedry polowej ks. Sebastian Piekarski, kapelan Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy AK, ks. Leszek Kryża - dyrektor Zespołu Pomocy Kościołom na wschodzie oraz kapelan kościoła grekokatolickiego.

Po mszy świętej, z inicjatywy szefa urzędu ds. kombatanatów Jana Józefa Kasprzyka i prof. Karola Nawrockiego - prezesa IPN, przy wsparciu Zarządu Okręgu Wołyńskiego Światowego Związku Żołnierzy AK oraz Dzielnicy Warszawa-Żoliborz odbyły się rocznicowe uroczystości na Skwerze Wołyńskim.

Przemówienia wygłosili Prezydent RP Andrzej Duda oraz premier RP Mateusz Morawiecki. Pod pomnikiem ofiar ludobójstwa zostały złożone wieńce przez Prezydenta i Premiera RP oraz przedstawicieli ministerstw polskiego rządu. W obchodach rocznicy rzezi wołyńskiej po raz pierwszy uczestniczył ambasador Ukrainy, składając wieniec pod pomnikiem Ofiar Ludobójstwa. Następnie została odmówiona modlitwa międzyreligijna przez kapelanów kościołów katolickiego, grekokatolickiego, protestanckiego, prawosławnego i żydowskiego.

We mszy świętej i obchodach upamiętniających 79 rocznicę rzezi wołyńskiej dokonanej przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach mieszkających na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej wzięli udział m.in. przedstawiciele środowisk kresowych, kombatanaci i mieszkańcy Warszawy. Relacje z uroczystości ukazały się m.in. w „Naszym Dzienniku” i miesięczniku Ordynariatu Polowego.

Redakcja

Aktualności z Podola

W wydawanym w Poznaniu czasopiśmie ruchu twórczego osób niepełnosprawnych "Filantrop" opisany jest fakt przekazania przez działającą u nas w kraju fundację "Szansa dla Niewidomych" 5 tysięcy złotych na rzecz sióstr franciszkanek w Starym Skałacie, oraz 7 tysięcy na zakup brajlowskiej drukarki. Siostry prowadzą od 2012 r. centrum rehabilitacji i pomocy niewidomym dzieciom. Warty podkreślenia jest fakt, iż fundacja, która ofiarowała pieniądze, założona i prowadzona jest przez osoby niewidome, które pomimo swego kalectwa i wielkich problemów, z którymi muszą się stykać, nie są obojętni na krzywdę innych.

4 września w Czortkowie odsłonięto pomnik-obelisk upamiętniający prezydencką parę Marię i Lecha Kaczyńskich. Odsłonięcie obelisku było uwieńczeniem obchodów 500-lecia miasta. Traf chciał, że w tym samym dniu odbył się doroczny zjazd Czortkowieńców w Warszawie. Pomnik stanął na Wygnance, na placyku przy



ul. Kolejowej, w miejscu, w którym ulica skręca w stronę dworca i rozwidła się z ul. Browarną (niedaleko cerkwi prawosławnej). Pomnik powstał z inicjatywy polsko-ukraińskiego komitetu społecznego, przy finansowym wsparciu władz miasta oraz Międzynarodowego Stowarzyszenia Przedsiębiorców Polskich na Ukrainie.

Z okazji 500-lecia Czortkowa, pomimo stanu wojny w jakim obecnie znajduje się Ukraina, ruszyła odbudowa zamku. Obecnie trwają prace przy położeniu dachu. Według dostępnych w Internecie zdjęć, obecnie (zdjęcia z lutego br.), jest już położona większość dachu - dachówek, oraz zrobiona w całości więźba. Z okazji 500-lecia zwrócono także ojcom dominikanom pomieszczenia klasztorne, gdzie wcześniej mieściła się szwalnia.

W 2 rocznicę śmierci naszej redaktor p. Ireny Kotowicz, w czortkowskim kościele ojców dominikanów odprawiona została msza święta w jej intencji. Intencja zamówiona została od przyjaciół z klubu „Podole” i współpracowników z redakcji "Głosów Podolan".



Strzelcy Podhalańscy przy lwowskim kopcu Unii Lubelskiej w 1935 r. Zdjęcie nadesłała p. Bogusława Duszkiewicz z Bydgoszczy.



Niestety, każdy numer naszego czasopisma ma dział poświęcony wspomnieniu zmarłych w ostatnich czasie Podolan, naszych czytelników, przyjaciół i działaczy ruchu kresowego.

Zmarł Jerzy Stopa

Z głębokim żalem informujemy o śmierci wybitnego Podolanina pułkownika Jerzego Stopy – wielce zasłużonego badacza historii rodzinnego Podola – swoistego Larouss’a swych ojczystych stron – autora monumentalnej pracy „Słownika Geograficznego Województwa Tarnopolskiego”, serii reprintów „Biblioteczka Podolska” oraz dziesiątek artykułów badawczo-historycznych.

Żegnamy współtwórcę naszych „Głosów”, naszego wieloletniego członka redakcji, który przez dwadzieścia lat (1997-2018) przepisywał, formatował, dokonywał korekty i przygotowywał do druku nasze czasopismo. Żegnamy twórcę Zeszytów Specjalnych, oraz autora dziesiątek artykułów w naszym czasopiśmie⁹.

Pogrzeb śp. Jerzego Stopy odbył się 21 listopada na Cmentarzu Komunalnym Północnym w Warszawie.

Cześć jego pamięci!

Rodzinie śp. Jerzego Stopy składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

W imieniu zespołu redakcyjnego
kwartalnika „Głosy Podolan”
Igor Megger – Redaktor Naczelny

⁹ Wiadomość o śmierci płk Jerzego Stopy dotarła do nas w przeddzień oddana numeru do korekty. Wspomnienie o śp. J. Stopie zamieścimy w następnym numerze „Głosów”

Zmarła Zofia Mertens



Ze smutkiem informujemy o śmierci wybitnej Polki, Kresowianki, Damy Orderu Orła Białego, Honorowej Obywatelki Dolnego Śląska – Zofii Mertens.

Zofia Mertens, z d. Teliga, urodziła się w 1926 roku w Krzemieńcu. Wraz z rodzicami mieszkała we wsi Wola Rycerska w pow. krzemienieckim, woj. wołyńskie. Jej ojciec Stefan Teliga był weteranem walk 1920 roku i osadnikiem wojskowym na Wołyniu. W 1940 roku rodzina Teligów została zesłana na Sybir, gdzie Stefan Teliga zmarł. W 1946 roku Zofia Teliga z matką powracają do Polski, osiedlając się we Wrocławiu. Tam też śp. Zofia broni doktorat i pracuje do emerytury jako agronom oraz w czasopismach rolniczych.

W 1998 roku, w ramach odszkodowania za tzw. mienie za-buzańskie, otrzymuje trzy wielorodzinne bloki w podwrocławskiej Szczytnicy o wartości 600 tysięcy złotych. W wieku 73 lat, sama żyjąc w nienajlepszych warunkach materialnych, dokładając swoich pieniędzy i oszczędności, bloki te remontuje i ściąga z Kazachstanu polskie rodziny tam pozostałe. Osadę tę nazywa „Kresówką”, a będące jej własnością 40 mieszkań przekazuje bezpłatnie repatriantom na zawsze. Mieszkania te zasiedla kilkadziesiąt polskich rodzin – ponad 200 osób. Śp. Zofia Mertens prócz darowizny kieruje także całością prac, organizując ekipy i materiały remontowe, pozwolenia, a także poszukuje ludzi, którym trzeba pomóc. Ufundowała również w „Kresówce” bibliotekę, kafejkę internetową – łączna pomoc dla repatriantów wyniosła milion złotych. Dochodziło nawet do dramatycznych momentów zadłużenia się naszej bohaterki, gdy sponsorzy, którzy obiecali pomoc, z niej się wycofali. Niestety do-

dać też należy, że nikt z innych Kresowian z wrocławskiego towarzystwa kresowian (nie chodzi o nasz TMLiKPW, tylko inne towarzystwo), którzy otrzymali mienie (łącznie w puli było 700 mieszkań), mimo zapowiedzi mieszkań repatriantom nie przekazali.

Problemy techniczne nie były jedynymi, z jakimi śp. Zofia Mertens musiała się zderzyć. Wielkim problemem był także mur bezduszności urzędników, którzy, często dla swojego wygodnictwa, zasłaniając się paragrafami, nie pomagali, a wręcz utrudniali proces repatriacji. Jakże znamy ten brak serca i widzenia człowieka jako bliźniego w urzędniczych oczach... Doszło do tego, że urzędnicy miast pomoc nazwali inicjatywę „prywatną sprawą starszej, dziwnej kobiety”.

W 2017 roku, na wniosek zawiązanej społecznie akcji uhonorowania Jej postaci, odznaczona została przez prezydenta RP Andrzeja Dudę najwyższym polskim odznaczeniem Orderem Orła Białego – za wielką działalność charytatywną i społeczną. Wyróżniona została także tytułem Honorowej Obywatelki Dolnego Śląska.

Wielka polska patriotka, człowiek o szczerozłotym sercu Zofia Teliga-Mertens zmarła 27 września br. we Wrocławiu.

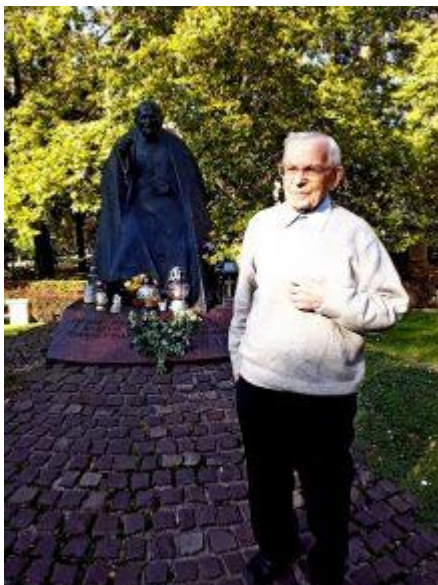
Zmarł Tadeusz Chromik

Przedruk ze strony www.jezuici.pl

Tadeusz Chromik urodził się 22 maja 1930 r. w Draganówce koło Tarnopola (Dzisiejsza Ukraina), w pobożnej rodzinie polskiej, która żyła dla Bożej sprawy i dla dobra polskiego narodu. Był jedynym dzieckiem Jana Chromika (1880-1963) i Marii z domu Mróz (+1933).

Draganówka była wsią położoną na południowy zachód o kilkanaście kilometrów od Tarnopola. Rozciągała się po obu stronach rzeki Rudawy, dopływu Seretu. Nazwa „Draganówka” pochodziła od dragonów, tj. wojsk królewskich, które stały tam na straży wschodnich ziem Ojczyzny. W 1931 r. Jan Chromik sprzedał gospodarstwo oraz dom w Draganówce i nabył nowy majątek w osadzie zwanej Sienkiewiczówką, położoną 10 km od Tarnopola...

W 1939 r. wybuchła II wojna światowa i ziemie wschodnie aż po Przemyśl, Bieszczady i ku północy po Bug przeszły pod rządę ZSRR. Chromikowie mieszkali w Sienkiewiczówce do 10 lutego 1940 r. Tam do ich domu o godz. 7:00 rano wkroczyło wojsko rosyjskie i milicja z dekretem skazującym ich na zesłanie; przyjechali na saniach ukraińskich chłopów z sąsiednich wiosek. W ciągu godziny należało spakować najbardziej potrzebne rzeczy, tak aby zmieściły się na jednych saniach. Reszta ich dobytku pozostała wydana na pastwę losu i grabież ludzi z okolicznych ukraińskich wiosek.



Ze stacji kolejowej Hłuboczek Wielki w wagonach towarowych zaplombowanych z zewnątrz wywieziono ich na Syberię. W wagonie przebywało w wielkim tłoku kilka rodzin. Czasami pociąg zatrzymywał się i pozwalano im nabrać sobie wody. Podróż trwała cały miesiąc, aż przywieziono wysiedleńców do stacji Muraszi przed Uralem. Stąd odbywała się dalsza podróż saniami doczepionymi do traktorów. Jechali przez lasy około 100 km do „kwadratu 99”. Tam zastali drewniane

baraki i okropne warunki mieszkaniowe. Tak to Jan i Bronisława z czworgiem dzieci znaleźli się na Syberii. Byli to dwaj bracia: Bolesław i Dominik oraz siostra Teresa i najmłodszy z rodzeństwa Tadeusz. Miał zaledwie dziesięć lat.

Rodzina spędziła na zsyłce 6 bardzo trudnych lat. Baraki, w których zamieszkali, były wybudowane z grubych kłód i belek ciosanych drzew, układanych na mchu. Były zapluskwione i stare, najprawdopodobniej z czasów rewolucji bolszewickiej, przeznaczone dla wro-

gów ludu. Dorośli pracowali przy wyrębie i ściąganiu drzewa. Panował głód, wiele osób puchło i umierało z braku jedzenia. Wynagrodzenie za pracę było bardzo mizerne, nie zawsze starczyło na kupienie chleba na kartki w sklepie znajdującym się w ich kwadracie. Dzieci zostały odseparowane od rodziców i umieszczone w odległym o 5 km „kwadracie 98”. Tam poddawano ich indoktrynacji i uczono języka rosyjskiego w prowizorycznej szkole. W kilku izbach przebywało po 16 dzieci. Rano i wieczorem przychodził do nich kierownik szkoły i enkawudzista. Obaj bacznie je śledzili. Na modlących się wylewali wodę i wyśmiewali ich praktyki religijne. Mimo represji dzieci w szkole umieściły krzyż. Enkawudzista chciał go usunąć, ale próbując go ściągnąć, upadł. To wszystko mobilizowało dzieci i nastrajało do buntu...

W 1944 r. po dokładnym przygotowaniu Chromikowie uciekli z obozu nocą przed świtem Wielkanocy. W świeżym padającym śniegu uciekali z obozu ojciec wraz z dwójką dzieci, Teresą i Tadeuszem. Uciekli w stronę stacji kolejowej Muraszi. Dominik uciekł tam wcześniej. Na stacji spotkali się z nim i po miesięcznym pobycie u syna Dominika w Muraszi wyjechali pociągiem na Kaukaz. Tam w górach warunki były znośne. Pracowali w wytwórni win. Wygnanie jednak trwało i pogłębiało tęsknotę za Ojczyzną i za resztą rodziny. Odmawiali nowennę do Serca Jezusa za pozostałe rodzeństwo o zachowanie ich przy życiu.

W 1946 r. na wiosnę na kaukaskiej ziemi rozeszła się radosna wieść o możliwości powrotu do Polski. Namawiano ich, aby nie wyjeżdżali (nie chciano tracić taniej siły roboczej). Jan powiedział dyrekcji: Już dawno jesteśmy gotowi do wyjazdu. Czekamy tylko na otwarcie drogi. Na pożegnanie każda rodzina dostała po 10 litrów wina...

Z przymusowej wywózki na Sybir i po tułaczce na Kaukazie Chromikowie jako repatrianci na wiosnę, około 10 kwietnia 1946 r., powrócili do Polski, na Śląsk. Ludzie wychodzili z wagonów i z płaczem całowali ziemię. Szybko rozeszła się po mieście wieść, że wracają do kraju sybiracy. W Prądniku czekał na nich syn Stanisław, a po kilku dniach wszyscy przyjechali do Bytomia i ostatecz-

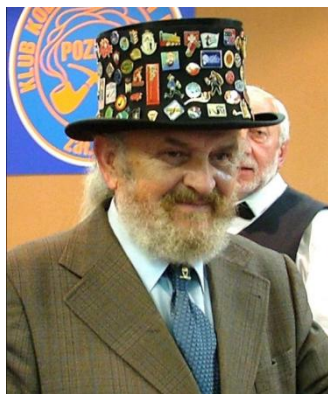
nie zamieszkali w Nowych Budach w powiecie Prądnickim. Z czasem zaczęli odchodzić z domu, aby służyć Bogu i Matce Najświętszej: Teresa, do sióstr służebniczek NMP, a Dominik do jezuitów. W tym zakonie byli już ich dwaj bracia: Franciszek i Józef. 30 lipca 1949 r. dołączył do nich najmłodszy Tadeusz. Ojciec Jan powiedział Tadeuszowi, który mu oznajmił swoją decyzję pójścia do zakonu: Synu, jak cię Pan Bóg woła, idź. W ten sposób złożył Bogu ofiarę całopalną ze swych czterech synów – i dał im błogosławieństwo na drogę życia zakonnego u jezuitów...

Najmłodszy z dzieci Chromików – Tadeusz, myśląc o swej przyszłości, zdecydował się pomagać ludziom i został zakonikiem. Stało się to 30 lipca 1949 r. Po skończonym dwuletnim nowicjacie w Starej Wsi studiował filozofię w Krakowie, a w Warszawie teologię, po czym został wyświęcony na kapłana 29 czerwca 1959 r. przez bpa Jerzego Modzelewskiego, sufragana warszawskiego. Świecenia kapłańskie miały miejsce w kaplicy św. Andrzeja Boboli w Warszawie, przy ul. Rakowieckiej 61. Profesję zakonną złożył 2 lutego 1967 r. Jego dewizą życiową były słowa: Modlitwa – to nie sprawa czasu, ale miłości. Jako młody kapłan gorliwie oddał się pracy duszpasterskiej, entuzjastycznie przeżywał II Sobór Watykański. Zaangażował się w grupę katechetyczną zorganizowaną przez ks. prof. Jana Charytańskiego SJ, której celem było opracowanie materiałów katechetycznych do nauczania religii. Pod kierunkiem tego profesora przygotował na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie doktorat z katechetyki. Po ukończeniu studiów był wykładowcą „multimediów” (wówczas środków audiowizualnych) na ATK w Warszawie. Jako członek Centrum Katechetycznego był współautorem wielu wydań katechizmów. Przez ponad 25 lat pisał też nabożeństwa biblijne do miesięcznika „Biblioteki kaznodziej-skiej”. Był też przełożonym wspólnoty zakonnej- superiorem w Wambierzycach (1984-1990). W 1991 r. został współpracownikiem miesięcznika „Posłaniec Serca Jezusowego”, a następnie w 1989 r. Dyrektorem Krajowym Apostolstwa Modlitwy. Funkcję tę pełnił do 25 sierpnia 2009 r. W roku 2006 założył biuletyn Apostolstwa Modlitwy: „Modlitwa i Służba”.

Ksiądz Tadeusz Chromik był cenionym rekolekcjonistą w kraju i poza granicami. W 2012 r. napisał książkę wydaną przez Wydawnictwo WAM: Serce Jezusa, komentującą wezwania Litanii do Serca Pana Jezusa, opartą na Słowie Bożym i Tradycji Kościoła. Pozycja ta pozwala lepiej poznać tajemnicę miłości Chrystusa – Boga i Człowieka. Autor komentuje poszczególne wezwania litanii, aby pomóc w zrozumieniu fundamentów chrześcijańskiej wiary, zwłaszcza osobom, które nie zetknęły się z literaturą teologiczną. Przywołuje wydarzenia ewangeliczne, nawiązuje do pism Ojców Kościoła, czasem prowadzi serdeczny dialog z Panem Jezusem, interpretuje niepokojące nurty współczesnej kultury. Rozważania te były i są nadal nieocenioną pomocą zarówno w osobistej, jak i wspólnotowej modlitwie podczas nabożeństw czerwcowych.

O. Tadeusz Chromik SJ zmarł w infirmerii krakowskiego Kolegium 3 lutego 2021 r. Był człowiekiem życzliwym, zawsze emanującym optymizmem, pogodą ducha, pobożnością i żywą wiarą.

ŚP. Ryszard Ćwiąkała i jego „fajowe” hobby



ŚP. Ryszard Ćwiąkała urodził się w 1935 roku w powiecie radziechowskim województwa tarnopolskiego. Dorosłe życie związał z Poznaniem gdzie dosłużył się stopnia majora w lotnictwie jako meteorolog. Był także doktorem nauk przyrodniczych - paleontolog. Ciężkie przeżycia lat młodości, doświadczenia ludobójstwa na własnej rodzinie, oraz późniejsza ciężka i wieloletnia choroba syna spowodowały że zmarły nie był zainteresowany działaniem w ruchu kresowym, poświęcił się natomiast innemu hobby – fajczarstwu.

Zmarły był jednym z najbardziej znanym kolekcjonerem fajek i prywatnym ich producentem w Polsce. Imponujący zbiór ponad 1000 fajek i przyborów tytoniowych zapoczątkowała przygoda we

wojsku, kiedy to, wówczas niepalący, Ryszard otrzymał od kolegów fajkę, którą to miał palić, by koledzy z kompanii nie stracili przydziału papierosów.

Zbiory śp. R. Cwikały stanowiły fajki z całego świata, z najróżniejszych surowców i o najbardziej fantastycznych kształtach. Z ciekawych eksponatów wymienić należy unikatową kolekcję fajek rezerwistów, wykonywanych z porcelany i ofiarowywanych żołnierzom cesarskich armii Niemiec i Austro-Węgier kończącym służbę. Na ich cybuchach znajduje się nazwisko rezerwisty, a także jego kolegów. Posiadał fajki nie tylko drewniane, czy metalowe ale także z masy perłowej czy z rogów. Największą fajkę którą posiadał, a z której można było palić mieściła funt (pół kilo) tytoniu!. Fajki także wykonywał obrabiając ręcznie wrzosiec (specjalny kawałek drewna na fajkę) tocząc z niego cybuch (palenisko fajki) i dorabiając z mosiądzu ustnik.

Zmarły także startował w zawodach palenia fajek. Jak wyglądają takie zawody? Otóż uczestnicy rywalizacji otrzymują fajki, trzy gramy tytoniu, dwie zapalki i drewniane ubijaki. Rusza po raz pierwszy zegar. Zawodnicy mają pięć minut na ubicie fajki. Wprawnie w dłoniach rozkruszają tytoń i pieczołowicie ubijają go za pomocą palców i ubijaka.

Jeszcze chwila i rusza ponownie zegar. Zawodnicy muszą w ciągu dwóch minut rozpałić fajkę mając do dyspozycji tylko dwie zapalki. W kompletnej ciszy słychać pocieranie zapalek o draski. Salę zaczynają spowijać kłęby aromatycznego dymu. Zwycięża osoba która fajkę pali najdłużej. Są wyniki nawet po godzinę, dwie – rekord świata wynosi ponad 4 godziny – proszę pamiętać że tytoniu do fajki w czasie zawodów się nie dokłada.

Fajkarze rzadko używają słowo palenie – czynność te nazywają częściej całowaniem lub picciem – już tłumaczę dlaczego, otóż nie chodzi o wybór „używek”, lecz o technikę palenia fajki. Obecnie rozróżnia się dwie. „Całowanie powiek kobiety” polega na dotykaniu wargami ustnika, na tyle delikatnym, jakby całowało się powieki ukochanej osoby. Druga technika, polega na paleniu z ustnikiem ustawionym pod kątem 45 stopni i podniesioną do góry

główką fajki. Wygląda to tak, jakby piło się coś z butelki. Ten sposób był także znany w dawnej Polsce, zresztą w staropolskim języku mówiło się raczej o picciu, a nie paleniu – oczywiście fajki.

Zmarły w zawodach palenia fajek zdobył wiele nagród. Był także wieloletnim aktywnym członkiem poznańskiego Klubu Kolekcjonerów Fajki. Ryszard Cwiąkała zmarł 20 lipca br. w Poznaniu, pochowany został na cmentarzu Jeżyckim (ul. Nowina) z asystą kolegów fajczarzy.

W ostatnim czasie nasze podolskie szeregi opuścili także

Kukier-Śmietana Ewelina – nasza wieloletnia prenumeratorka, rodzinnie związana z Czortkowem, odeszła w wieku 68 lat, 7 listopada 2021 w Świdniku.

Rajner Anna – urodzona w 1934 roku, wychowanka miasta Tarnopola, pielęgniarka, wielki przyjaciel dzieci autystycznych, działaczka „Solidarności”, zmarła 22 maja br. w wieku 88 lat.



Płk dr Garlicki Andrzej Marian

– urodził się w 1923 roku w Szulhanówce pod Czortkowem. Od listopada 1939 roku żołnierz Służby Zwycięstwu Polski i Związku Walki Zbrojnej we Lwowie. W 1940 roku zesłany przez NKWD do Kazachstanu, Od lutego 1942 roku żołnierz Polskich Sił Zbrojnych formowanych w ZSRR. Od maja 1942 roku przebywał z armią gen. Andersa w Iranie, a następnie Iraku, Palestynie oraz Egipcie. Po ukończeniu Szkoły Podchorążych

Rezerwy Artylerii służył w 3. Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Z tą jednostką przeszedł cały szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej. Walczył m.in. o zdobycie Monte Cassino, Ankony, Loreto i Bolonii. Po zakończeniu działań wojennych pozostał na emigracji. Wybitnie zasłużony w

działalności polonijnej i kombatanckiej, były Prezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Kanadzie. Uhonorowany wieloma odznaczeniami i orderami polskimi i zagranicznymi. Zmarł 15 lipca br. w Krakowie.

Bartosiewicz Stanisława – urodzona w 1920 roku w Brzeżanach, profesor nauk ekonomicznych, wieloletni pracownik Instytutu Cybernetyki Ekonomicznej wrocławskiej Akademii Ekonomicznej, zmarła 20 lipca br. w pięknym wieku 102 lat.

Hardy Zbigniew – urodzony w Poznaniu, zmarł 17 sierpnia br. tamże w wieku 87 lat. Syn majora Włodzimierza Hardego zamordowanego przez NKWD w Charkowie. Wieloletni działacz, „motor” poznańskiej rodziny katyńskiej, inicjator wielu przedsięwzięć, oraz wieloletni wiceprezes stowarzyszenia. Zmarły był także przez wiele lat prenumeratorem „Głosów Podolan”

Hehorów Mieczysław – urodził się w 1924 roku w Złoczowie, zmarł 21 września br. w Częstochowie. Przed wojną harcerz lwowskiego ZHP. W 1945 roku trafił do Częstochowy, gdzie założył Akademicki Związek Sportowy (AZS). W latach 1948-50 był jego prezesem, a do śmierci prezesem honorowym. Zmarły był twórcą także częstochowskich klubów sportowych „Budowlani” i „Żubr” oraz miejscowego oddziału PTTK.

Dr Kozak Kazimierz – Czortkowiec, syn sierżanta Leona Kozaka, doktor nauk przyrodniczych, stały uczestnik czortkowskich zjazdów, nasz wieloletni prenumeratorem, zmarł w wieku 92 lat, 5 listopada br. w Lublinie.

Sokołowska Róża – nasza droga p. Róża, organizatorka Zjazdów Czortkowiec, nagle opuściła nasze szeregi w wieku 86 lat, pożegnaliśmy ją 14 listopada br. na cmentarzu w podwarszawskiej Starej Miłosnej. Msza święta w intencji zmarłej od poznańskich czortkowiec odbędzie się w kościele dominikanów 2 stycznia 2023 o godz. 19.00¹⁰.

Niech odpoczywają w Pokoju Wiecznym!
Cześć ich Pamięci!

¹⁰ Wspomnienia o śp. Róży Sokołowskiej, i śp. Kazimierzu Kozaku zamieścimy w następnym numerze „Głosów”.

Niestety śmierć nie omija także poznańskiego Oddziału TMLiKPW – zmarłych w 2022 r. członków oddziału wspomnimy w następnym numerze „Głosów”.

Hanna Adamska

Warszawa

Krzyk

Panie Boże jeszcze odpocznę chwilkę,
A potem jak ptak na niebie,
Korytarzami powietrza polecę, polecę,
Do ciebie Panie Boże, do Ciebie,
Na łuku kolorowej tęczy,
Zaznaczę ślad mego bytu.
A na strunach wiatru rozlegnie się
mój krzyk ze strachu!...
Że, opuszczam najbliższych, gniazdo rodzinne,
Że, opuszczam Matkę Ziemię

Autorka wiersza jest wdową po wieloletnim członku warszawskiego klubu "Podole" i naszym czytelniku p. Leszku Adamskim. Wiersz powstał w dniu jego śmierci (8 maja br.).

Redakcja

Komunikat ws. statuetki „Semper Fidelis” na rok 2023

Informujemy, że kolejny raz, podczas organizowanych w Poznaniu „Dni Lwowa i Kresów”, wybranej osobie wręczona zostanie Statuetka Lwa, która jest odzwierciedleniem nadania honorowego wyróżnienia „Semper Fidelis”. Statuetka, którą wykonał artysta plastyk, Jarosław Lebieź, nawiązuje formą do lwów, jakie stały przed wojną na Cmentarzu Orłąt we Lwowie, przed Pomnikiem Chwały. Statuetkę od ponad 15 lat przyznaje poznański Oddział TMLiKPW. Otrzymują ją osoby szczególnie zasłużone dla ratowania dziedzictwa narodowego Kresów, upamiętniania miejsc



pamięci narodowej czy niesienia pomocy Polakom i ich potomkom na wschodzie.

Zgłoszenia kandydatów do tego wyróżnienia listownie lub drogą elektroniczną przyjmowane są do 15 kwietnia 2023 roku. Prosimy o nadsyłanie na nasz adres swoich propozycji kandydatów do wyróżnienia, wraz z uzasadnieniem. Zgłoszenia prosimy kierować na adres podany w stopce redakcyjnej. Szczegółowych informacji udziela sekretarz Oddziału Wanda Butowska, tel. 508 395 836. Zgłoszenia mogą składać osoby prywatne jak i instytucje, towarzystwa, oddziały TMLiKPW, itd.

Dotychczas statuetką „Semper Fidelis” wyróżnieni zostali:

2007 – **Andrzej Przewoźnik** – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Dzięki jego staraniom odbudowano Cmentarz Obrońców Lwowa, a także otwarto cmentarze katyńskie.

2008 – **prof. Andrzej Stelmachowski** – weteran AK, minister edukacji. W latach 1990–2008 był prezesem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” w Warszawie, gdzie dał się poznać jako wybitny znawca problemów Polaków rozsianych po całym świecie. Doskonale rozumiał problemy Polaków na Kresach i na ich rzecz pracował.

2009 – **Szczepan Siewierka** – weteran walk z OUN-UPA, wieloletni prezes Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów, redaktor naczelny czasopisma „Na Rubieży”. Inicjował budowę 19 pomników i ponad 120 tablic poświęconych ofiarom ludobójstwa w różnych miejscowościach na terenie kraju.

2010 – **Tadeusz Tomkiewicz** – weteran AK, twórca „Ogniska Bukaczowczan”, redaktor „Biuletynu Bukaczowieckiego”, współautor książki „Cmentarz w Bukaczowcach” oraz „Moje Bukaczowce”.

2011 – **prof. Stanisław Nicieja** – historyk, twórca Uniwersytetu Opolskiego, autor monumentalnych prac na temat Kresów, takich jak „Cmentarz Łyczakowski”, czy cyklu książek „Kresowa Atlantyda”.

2012 – **Emilia Chmielowa** – działaczka polonijna we Lwowie, współtwórca i prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Bezpośrednio zaangażowana w powstanie nowych szkół polskich: w Mościskach, Strzelczyskach, Dowbyszu i Gródku Podolskim.

2013 – **Władysław i Ewa Siemaszko** – ojciec (weteran 27 DP AK) i córka, wielce zasłużeni w upamiętnianie ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Autorzy wielu książek, w tym pomnikowej „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945”.

2014 – **ks. prof. Józef Wolczański** – historyk zajmujący się martyrologią ludności polskiej i Kościoła katolickiego na Kresach Wschodnich II RP. Autor dwutomowego dzieła „Eksterminacja Narodu Polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945”.

2015 – **Zbigniew Chrzanowski** – dyrektor i reżyser Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Jako dyrektor zawsze z poświęceniem stara się nieść słowo polskie, prezentując dorobek ojczystej kultury.

2016 – **Mirosława Tomecka** – Ukrainka o wielkim sercu dla Polaków. Prezes Towarzystwa Pomocy Polakom „Wielkie Serce” w Nowym Rozdole. Wraz ze zmarłym w 2015 roku mężem jest twórczynią polskiej szkoły w Nowym Rozdole, a jej uczniowie zdobywają wiele nagród na konkursach polonijnych.

2017 – **Janusz Wasylkowski** – publicysta, dyrektor Instytutu Lwowskiego, autor wielu pozycji na temat miasta Lwowa: jego ludzi, kultury, historii. Twórca „Rocznika Lwowskiego”.

2018 – **ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski** – wybitny kapłan, bezkompromisowy i wielce zasłużony dla spraw kresowych, niestrudzona postać w walce o pamięć ofiar Rzezi Wołyńskiej.

2019 – **Tadeusz Kuba Kozłowski** – historyk, pracownik warszawskiego Domu Spotkań z Historią, w którym zajmuje się popularyzacją Kresów Wschodnich. Autor dziesiątków wykładów historycznych i wystaw poruszających wszystkie wątki wielokulturowości Kresów. Jego wykłady zawsze cieszą się wielką popularnością.

2020 – **Irena Kotowicz** – żołnierz podziemia niepodległościowego, więzień UB. Twórca i prezes warszawskiego Klubu „Podole” przy Stołecznym Oddziale TMLiKPW oraz twórca i redaktor naczelny czasopisma „Głosy Podolan”.

2021 – **Teresa Dutkiewicz** – działaczka polonijna we Lwowie, współtwórca i wiceprezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie. Redaktor polskiego czasopisma na Ukrainie „Nasze Drogi”.

2022 – **Stanisław Srokowski** – literat przypominający w środkach masowego przekazu ludobójstwo na naszym narodzie dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów na Kresach II RP. Autor kilkunastu książek i dziesiątków artykułów na ten temat. Współautor scenariusza wielokrotnie nagradzanego filmu „Wołyń”.

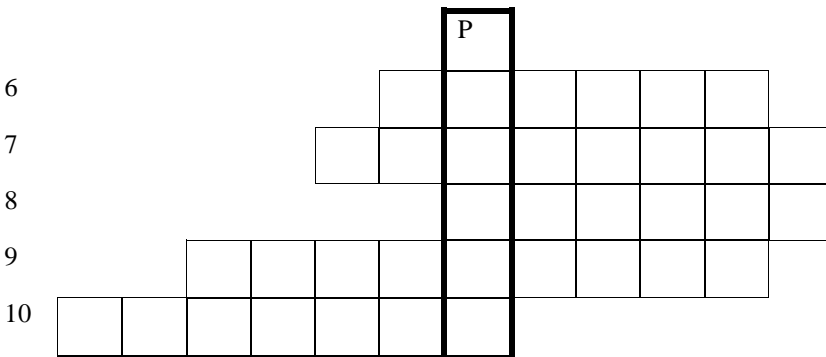
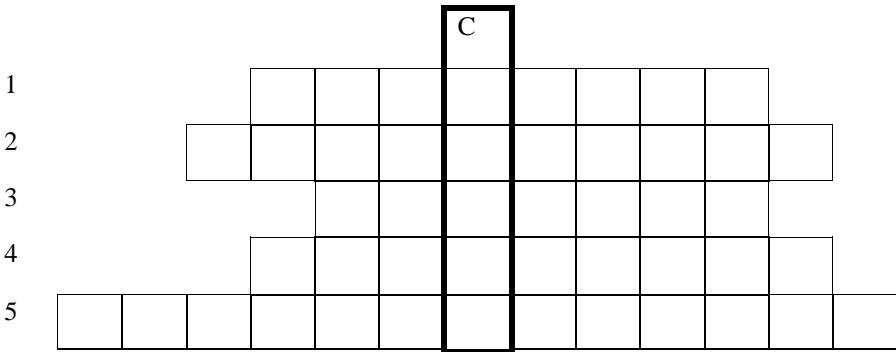
Krzyżówka podolska 2022

Ułatwiając rozwiązanie podpowiadamy że hasłami są miejscowości z prawami miejskimi w woj. tarnopolskim, niebędące miastami powiatowymi.

1. w 1925 roku stracił status miasta powiatowego na rzecz Kopyczyniec, **2.** Znana z fabryki tytoniu (pow. Czortków), **3.** Z grobem gen. Józefa Dwernickiego (pow. Radziechów), **4.** Figura Matki Boskiej z tamtejszego klasztoru znajduje się obecnie w Szymanowie k. Sochaczewa (pow. Buczacz), **5.** W mieście tym znajdował się największy rzymskokatolicki cmentarz na terenie województwa (pow. Buczacz), **6.** W mieście tym dziś niema już śladu po zamku i getcie żydowskim (pow. Brzeżany), **7.** W znajdującym się tam zamku w 1944 roku, polska samoobrona bohatersko odparła atak UPA (pow. Trembowla), **8.** Miejsce urodzenia króla Jana III Sobieskiego (pow. Złoczów), **9.** Z odremontowanym barokowym kościołem i malowniczymi ruinami zamku (pow. Tarnopol), **10.** Rzeka Seret dzieli je na Nowe i Stare, było bronione przed bandami UPA przez harcerzy z Szarych Szeregów (pow. Zborów).

Rozwiązanie prosimy podawać telefonicznie do **1 lutego 2022 roku**. Losowanie zwycięzcy odbędzie się w lutym na posiedzeniu zarządu Oddziału Poznańskiego TML. Nazwisko laureata i odpowiedzi podamy w następnym numerze „Głosów”. Do wygrania

książka-album „Życie i śmierć dla Polski” z serii „Dopalenie kresów” autorstwa Kazimierza Krajewskiego, wydana przez Warszawski IPN w 2018 r. Pozycja dotyczy polskiego ruchu partyzanckiego na Litwie i Białorusi w czasie II Wojny Światowej.



Szanowni Państwo,

Korzystając z „przywileju”, jakim jest możliwość zamieszczenia tekstów w naszym biuletynie, składamy wszystkim Państwu – naszym Czytelnikom i Sympatykom jak najlepsze życzenia świąteczne, a także życzenia zdrowia i pomyślności w Nowym Roku – już 2023. Dziękujemy za wszystkie ciepłe listy i telefony, które podbudowują nasze siły do dalszej pracy – jest to naprawdę bardzo miłe. Uwagi merytoryczne także są mile widziane, wszakże każdy

może popełnić błąd, ale czasem nie jesteśmy wszystkich wątków historycznych w tekstach gwarantować „za zgodność z oryginałem” – stąd mogą się rodzić niezamierzone błędy. Dziękujemy darczyńcom, którzy wsparli finansowo nasze wydawnictwo większymi wpłatami na fundusz wydawniczy. Dzięki temu mogliśmy wydać numer specjalny „Czortków”, przekazywać egzemplarze bezpłatne do bibliotek, oraz zwiększyć liczbę stron „Głosów”, pomimo wzrostu kosztów wysyłki i druku.

Za hojne - „ponadnormatywne” wsparcie naszego wydawnictwa w roku 2022 dziękujemy następującym prenumeratorom: Danuta Balic (Kędzierzyn-Koźle), Włodzimierz Bas (Głogów), Wanda Butowska (Poznań), Katarzyna Cilińska (Nowa Sól), Andrzej Durbakiewicz (Olsztyn), Stefan Dziedzic (Złoty Stok), Anna Garstecka (Poznań), Julian Gozdowski (Jelenia Góra), Jerzy Horodecki (Warszawa), Tadeusz Józków (Milicz), Kazimierz Kozak (Lublin), Andrzej Kuc (Świdnica), Kazimiera Krystek (Wrocław), Katarzyna Mazur (Zielona Góra), Stanisław Laszczyński (Lubin), prof. Stanisława Licznar (Wrocław), Zbigniew Łakomy (Poznań), Tadeusz Ostrowski (Nowe Miasteczko), Władysław Ostrowski (Szczecin), Józef Uniowski (Gliwice), Jadwiga Wędrychowicz (Kraków), Zygmunt Sługocki (Szamotuły), Romana Szczepkowska (Legnica), Jan Szypiorski (Toruń), Jerzy Trudzik (Biała Podlaska).

Szczególne podziękowania kierujemy zaś do darczyńców: Franciszek Bąkowski (Poznań), Zofia Budzyńska (Shirebrook – Anglia), Bolesław Borowicz (Warszawa), Bogusława Duszkiewicz (Bydgoszcz), Ewa Grzelecka (Szczecin), Hanna Fedorowicz (Salzburg – Austria), Janusz Furmaniuk (Poznań), Eugeniusz Jaworski (Żagań), Zdzisław Nicpoń (Wąsosz), Miła Sandberg (Montreal – Kanada), Wojciech Sereżyński (Lubin).

Raz jeszcze dziękujemy wszystkim wpłacającym za otwarte serca dla sióstr dominikanek w Czortkowie i dla akcji „Serce dla Lwowa”. Zachęcamy do wpłat na nasze konto z dopiskiem „Serce dla Lwowa” lub „Dla sióstr Dominikanek w Czortkowie” – środki wpłacone na bieżąco są przekazywane osobom potrzebującym na wschodzie zgodnie z życzeniem darczyńcy.